

# RES HUMANA

Humanizm  
Racjonalizm  
Kultura świecka

3 /106

2010 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 3 (106) 2010 Rok wyd. XIX • cena 7,00 zł



**BÓL • PAMIĘĆ  
REFLEKSJA**

**SMOLEŃSK**

10 kwietnia 2010

## PO KATASTROFIE SMOLEŃSKIEJ

### *Komentarze*

*Władysława LORANCA, Zdzisława SŁOWIKA,  
Daniela ZBYTKA*

## WOBEĆ WYBORÓW PREZYDENCKICH

*Komentarz Jerzego J. WIATRA*

## POWITANIE XI ZJAZDU KRAJOWEGO TKŚ

*im. Tadeusza Kotarbińskiego 12 czerwca 2010 roku*

## DAR ŻYCIA I BÓL ŻYCIA

*Mieczysław MICHALIK, Dionizy TANALSKI,  
Stanisław KUBIAK*

## SPÓR O STATUS ETYKI

*Józef KABAJ*

## PORTRET OSOBOWOŚCI CHOPINA

*Jadwiga SEBESTA*

## FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

*Maria SZYSZKOWSKA, Eugeniusz KABATC,  
Wacław SADKOWSKI*

*Ponadto w numerze m.in.: Radosław S. CZARNECKI,  
Michał HOROSZEWICZ,  
Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA*



9 770867 847063 03 >

# Spis treści

## FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

### PO KATASTROFIE SMOLEŃSKIEJ

Zdzisław SŁOWIK  
Lekcja smoleńska/1  
Władysław LORANC  
Niepotrzebna podróż – zmarnowane biografie/3  
Daniel S. ZBYTEK  
Śmierć Prezydenta/4

### WOBEC WYBORÓW PREZYDENCKICH

Jerzy J. WIATR  
Wyzwanie i szansa lewicy/6  
Władysław LORANC  
Ludwika Dorna porachunki z PiS/9

### POWITANIE XI ZJAZDU KRAJOWEGO TOWARZYSTWA KULTURY ŚWIECKIEJ im. Tadeusza Kotarbińskiego/12

### DAR ŻYCIA I BÓL ŻYCIA

Mieczysław MICHALIK  
Człowiek: w świecie dobra i zła/13  
Dionizy TANALSKI  
Człowiek: wobec pracy w epoce postindustrialnej/17  
Stanisław KUBIAK  
Człowiek: wobec doświadczenia choroby/21

### O PROBLEMACH MORALNYCH

Józef KABAJ  
Racjonalny antagonizm/27

### ŚWIADECTWO

Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA  
„Medycyna dawała mi swobodę działania”/31

### ROK CHOPINA

Jadwiga SEBSTA  
Chopina portret duszy z melancholią w tle/34

### SPÓR WOKÓŁ „PAPIEŻA MILCZENIA”

Michał HOROSZEWICZ  
Pius XII w katolickich perspektywach/38

### FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA  
Pokój i demokracja/42  
Eugeniusz KABATC  
Zachmurzenie duże, coraz większe.../44  
Wacław SADKOWSKI  
T.S. Eliot definitywnie doszlifowany/45

### WŚRÓD KSIĄŻEK

Radosław S. CZARNECKI  
Zdobycie Konstantynopola 1204/48  
Eugeniusz KABATC  
Profesor Lam idzie do Asyżu/50  
Władysław LORANC  
Uroda i mądrość legend/52

### WŚRÓD CZASOPISM

Ksawery PIWOCKI  
GAZETA WYBORCZA, PRZEGLĄD/53  
Daniel S. ZBYTEK  
IWMpost/55  
DSZ  
SCIENCE i GAZETA WYBORCZA/57

### STANISŁAW FRANCZAK

Wiersze/58

### NOTATKI JEROZOLIMSKIE

Uri HUPPERT  
Czarnogród w państwie demokratycznym/59

### KRONIKA

PRZED XI ZJADEM KRAJOWYM  
TOWARZYSTWA KULTURY ŚWIECKIEJ  
im. Tadeusza Kotarbińskiego/60  
KATOWICE. PUŁAWY/60 i III str. okł.

---

**REDAKCJA:** Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Lech M. NIJAKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), Wacław SADKOWSKI, Zdzisław SŁOWIK (redaktor naczelny), Dionizy TANALSKI.

**ADRES REDAKCJI:** 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69. **E-mail:** reshumana@tlen.pl

**WYDAWCA:** Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

---

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT „0”.

# FAKTY WYDARZENIA OPINIE

## PO KATASTROFIE SMOLEŃSKIEJ

Wstrząśnięci tragedią pod Smoleńskiem i liczbą wszystkich jej Ofiar, a wśród nich

Izabeli JARUGI-NOWACKIEJ  
Jolanty SZYMANEK-DERESZ  
Jerzego SZMAJDZIŃSKIEGO

Osób szczególnie bliskich wartościom i sprawom naszego ruchu, chylimy czoło i zapewniamy o naszej szczególnej pamięci.

Prezydium Rady Krajowej  
Towarzystwa Kultury Świeckiej  
im. Tadeusza Kotarbińskiego

Katastrofa smoleńska, jej skala i symbolika, która wywarła tak wielkie społeczne poruszenie i narodową żałobę, musi stać się czasem poważnego namysłu, refleksji, czasem bardzo trudnej lekcji dla wszystkich, z których muszą też wyłonić się nowe idee i działania, zdolne powstrzymać niszczącą nasze życie wojnę polsko-polską, stan wszechogarniającego i z premedytacją organizowanego napięcia; zdolne przywrócić społeczeństwu wzajemne zaufanie, szacunek i duch porozumienia.

Próbą takiego myślenia o Polsce po smoleńskiej katastrofie są drukowane poniżej teksty, które traktujemy jako zachętę do poważnej debaty o najważniejszych dziś sprawach Polski i Polaków.

Redakcja

## LEKCJA SMOLEŃSKA

Odchodzą w codzienność dni narodowej żałoby, poruszające do głębi słowa psalmów, modlitw i mów przy trumnach zmarłych; wysychają zły, ból i cierpienie po bliskich, którzy zginęli w tej dojmującej katastrofie. Ale też ten ból trwać będzie nadal, bo zbyt głęboka jest rana jaką doświadczył naród, państwo, nasz polski współczesny czas.

Dlatego po dniach żałoby i w obliczu skali tej katastrofy nie wolno nikomu uchylić się od poważnego namysłu nad tym, co się istotnie wydarzyło, uchylić od pytań bardziej fundamentalnych

niz te, które dotyczą technicznych przyczyn katastrofy, od pytania choćby takiego, czy do tej tragedii musiało w ogóle dojść, do tragedii, w której śmierć ponoszą prezydent państwa, najwyżsi dowódcy polskich sił zbrojnych, wielu ważnych osób życia publicznego oraz ci, których krewni spoczywają w Katyniu i którzy z potrzeby sumienia spieszyli tam, aby przekazać swym bliskim świadectwo pamięci?

To pytanie wymaga odpowiedzi, bo od samego początku tego dramatu, u samych jego źródeł tkwił głęboki konflikt, świadomie i cynicznie wniesiony do polskiej rzeczywistości ostatnich lat: konflikt dzielący Polaków na lepszych i gorszych, stygmatyzujący tych, którzy żyli i pracowali w powojennej Polsce, i tych, chodzących dziś w aureoli zwycięzców, którzy tamtą Polskę uznali za antropologiczne zło, z którym trzeba walczyć. To powołanie do walki część z nich przeniosła w nowy demokratyczny czas pod postacią tropienia w nim urojonych wrogów, układów, tworząc konstrukcje, w rodzaju tzw. IV RP, mające uchodzić za świadectwo szczególnych kwalifikacji do nazywania siebie „prawdziwymi Polakami”, prawo do bezwstydnego uzurpatorstwa. I to z tego uzurpatorstwa zrodził się konflikt dzielący dziś polską klasę polityczną i scenę polityczną, przenikający nawet do życia wielu rodzin; konflikt realnych różnic ideowych i politycznych, ale w niemniejszym stopniu także konflikt ambicji. Te ambicje pięć lat temu ujawniły swą niszczącą siłę rujnąjąc, i tak wątłe, najwyższe struktury władzy wykonawczej państwa. Ich przejawem była powtarzana jak mantra retoryka na temat tego, kto jest najważniejszym przedstawicielem państwa, kto jest tym pierwszym sprawiedliwym, tym stróżem cnót dla Polaków najwyższych, w imię których ten pierwszy sprawiedliwy jest ponad wszystkimi i wszystkim, ponad parlamentem, rządem, ponad wszystkim i nie może też nie być wszędzie tam, gdzie uzna, że musi być.

Z mrocznych czeluści tego dramatycznego konfliktu wyłoniła się, jak wiemy, koncepcja nie jednej - zgodnej i odpowiedzialnej w działaniu - polskiej reprezentacji państwowej ma obchody rocznicy zbrodni katyńskiej, lecz dwóch, w odstępie zaledwie trzech dni, reprezentacji na te same obchody w Katyniu. Trzy dni, tylko trzy dni, które w atmosferze rywalizacji i napięcia, okazały się wiecznością dla tak wielu, zarazem ujawniając światu rozmiary polskiego konfliktu, jaki zaplanowano tym razem przenieść na obcą ziemię i tak już skrywającą polski dramat.

Te mroczne czeluści ambicji i różnych politycznych kalkulacji były matką klimatu, który wypełniał pośpiech, wielki pośpiech do celu i wielka towarzysząca temu presja, której nikt nie mógł się oprzeć, także wielu z tych, którzy przekroczyli próg prezydenckiego samolotu rankiem 10 kwietnia, choć zapewne uznawali ten lot zarazem za szczególne wyróżnienie albo przywilej. Nie można wykluczyć, że tę presję i pośpiech, kłępujące zdolność racjonalnego myślenia, czuli też ci, w rękach których znajdowały się stery tego samolotu. Może czarne skrzynki ujawnią ten fakt.

Byłaby to ważna przesłanka potwierdzająca potrzebę głębszego namysłu nad katastrofą smoleńską, przesłanka odpowiedzi na pytanie fundamentalne, które tu formułuję i wobec którego w imię prawdy nie wolno uciec nikomu. Takie pytanie i wynikającą zeń konkluzję można już odczytywać ze słów marszałka Bronisława Komorowskiego, gdy w Krakowie, z murów Bazyliki Mariackiej wezwał do zakończenia wojny polsko-polskiej; można zrozumieć z wielu roztropnych refleksji o porządku demokratycznym, który wyklucza wszelkie uzurpatorstwo, wszelkie wynoszenie się ponad służbę społeczeństwu i państwu i który z zasady zaufania i poszukiwania w dialogu tego, co wspólne czyni fundament pomyślności społeczeństwa obywatelskiego. Dodajmy: systemu, który wyklucza filozofię konfliktu jako instrumentu sprawowania władzy i ma siłę, zdolną demonstrować barykady dzielące społeczeństwa.

To ważne lekcje kwietniowego dramatu pod Smoleńskiem. Ale już widać, że to lekcje nie dla wszystkich, nie dla wielu polityków skrajnej prawicy czy ich najemnych dziennikarzy, także duchownych czy utytułowanych ludzi nauki, a nawet poetów. Oni wszyscy nie poczuwają się do jakiegokolwiek winy, lecz usilnie szukają alibi dla swych złowieszczych przekonań, ukrycia tego, co uczynili, szukają sposobów ocalenia owych czeluści zła, które od lat tworzyli, a dziś nie myślą o niczym innym tylko o tym, aby z tych czeluści czerpać nowe siły do wzniecenia jeszcze większej wojny polsko-polskiej, jeszcze większych konfliktów, jeszcze większej katastrofy. I to wszystko w imię pamięci o zmarłym tragicznie prezydencie, którego w tyle nadzwyczajnym, co zaskakującym społeczeństwo polskie pośpiechu pochowali na Wawelu.

Nie wyprzedzajmy wszelako biegu faktów, bo dynamika życia społecznego i stan świadomości społecznej najczęściej przekraczają ludzką wyobraźnię, także dotkniętych chorą wyobraźnią. Nadchodzi czas realnej próby, realny sprawdzian rzeczywistego stanu polskiego odczuwania i myślenia po doświadczeniu smoleńskiego dramatu. Wybory prezydenckie mogą być pierwszym, doniosłym sprawdzianem tego, czego Polacy pragną, jakiego porządku w Polsce oczekują, jakim wartościom chcą nadać szczególną wagę i sens, po to właśnie, aby odzyskać bez lęku zdolność do odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, jakich ostatni polski czas nie oszczędził nam wszystkim. Także odpowiedzi na pytanie o celowość i sens tragicznego lotu prezydenckiego samolotu do Smoleńska.

**Zdzisław SŁOWIK**

# NIEPOTRZEBNA PODRÓŻ – ZMARNOWANE BIOGRAFIE

O tragedii poinformowano prawie natychmiast. Wydarzyła się niemal na naszych oczach. Zareagowaliśmy instynktownie, można powiedzieć, że spokojnie i odpowiedzialnie. Nic jednak nie było i nie stało się jasne. Pytanie jak mogło dojść do tragedii, która wstrząsnęła państwem zadano już w pierwszych godzinach i fakt, że pytało tysiące ludzi przedstawicieli wszystkich stanów potwierdza powagę sytuacji. Nie wpłynął on jednak na zrozumienie etiologii katastrofy pod Smoleńskiem. Dopiero dzisiaj, 24 kwietnia przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” esej prof. B. Łagowskiego, dla mnie arcyważny dowód, że w Polsce istnieją jeszcze intelektualiści, rozumiejący swe zobowiązania wobec normalnych ludzi. Oni nie kumkają z innymi żabami lecz myślą wnikliwie, a mówią wprost. Jest ich już niewiele, ale jeszcze są!

Podzielał myśl autora, że właściwym kontekstem do oceny katastrofy jest polityka historyczna realizowana przez PiS i oplatający tę partię bluszczyk polityczny. Chęć jednak uściślić, że przenicowanie najnowszej historii nie jest ich celem lecz wyłącznie środkiem, narzędziem. Prawicy chodzi nie o prawdę historyczną i zrozumienie sensu dziejów Polski w XX wieku lecz o stworzenie ideologii umożliwiającej powrót do polityki oraz realiów gospodarczych i socjalnych II RP, państwa słusznie nazywanego Polską międzywojenną. Uzupełnienie pozwala mi na aprobatę ważnej myśli zanotowanej w eseju Łagowskiego: „Zdumiewający cynizm z jakim Polacy posługują się Katyniem w psychologicznej wojnie z Rosją nie byłby możliwy gdyby tę zbrodnię brano konkretnie (...) jako fakt zaistniały w określonym miejscu i czasie”. W myśleniu PiSowców Katyń to nie tyle zbrodnia wojenna prawnie nie podlegająca przedawnieniu lecz symbol o funkcjach sakralnych. Stosunek do niego ma być najważniejszym testem postawy politycznej i moralnej wszystkich uczestników wojny światowej między siłami faszystów, zjednoczonymi w sojuszu: „Berlin – Rzym – Tokio”, a siłami demokratycznymi skupionymi w antyfaszystowskiej koalicji, do której w lipcu 1941 roku przystąpiła m.in. Polska i ZSRR. Przyczyną cynicznego stosunku do ofiar Katynia są interesy polityczne prawicy, interesy tak egzotyczne, że wciąż trudne do otwartego przedstawienia społeczeństwu. Słabnącą kondycję kraju i chwiejne samopoczucie Polaków kształtują; zupełny upadek znaczenia programów wyborczych oraz niepokój, iż zawiodły podstawowe zasady polityczne na których budowano demokratyczne państwo. Przed pięciu laty PiS wystartował po władzę ze zrezygnowaną ofertą: „Państwo solidarne a nie liberalne”. Koalicyjny rząd PiS, LPR i Samoobrony w dwa lata ośmieszył tę ofertę. Po przyspieszonych wyborach rząd koalicji PO i PSL skokietował nas hasłem „Kochajmy się”! Położenie obywateli nieco się poprawiło, ale socjalna kondycja ludzi pracy, powszechne zagrożenie bezrobociem, brak swobody zrzeszania się dla obrony praw zawodowych nie uległy istotnej poprawie.

W konsekwencji walka dwu pravicowych partii o zdobycie pełni władzy nie toczy się wokół rozwiązania przypomnianych problemów lecz wokół tego, która jest narodowa czyli swojska, a która liberalna czyli obca. Oddzielone tylko trzema dniami, dwie podróże do Katynia dwóch

przywódców kraju ujawniły, że walka o władzę karmi się historią a nie realiami socjalnymi i gospodarczymi. Wbrew zasadom na demonstracyjną pielgrzymkę do Katynia prezydent zaprosił całe dowództwo wojska, przedstawicieli wszystkich sejmowych partii politycznych oraz reprezentację tak zwanego państwa podziemnego z lat okupacyjnych, „żołnierzy wyklętych” i rodzin katyńskich, by dla opinii publicznej stała się oczywistą różnicą między liberałami z PO, a narodowym obozem PiS, by J. Kaczyński znów mógł powiedzieć „My stoimy tu gdzie patrioci a oni stoją tam gdzie stało ZOMO”.

Tak pomyślane widowisko przerwała straszliwa katastrofa. Nikt jej nie przewidywał, ale w każdym momencie przygotowania widowiska kierowano się nie racją stanu państwa polskiego lecz interesami tej politycznej partii, której credo zamyka się w cynicznym haśle: „Państwo jest o tyle polskie i ile My nim kierujemy, a jeśli go nie kontrolujemy jest tylko administracją z obcego nadania”. Uczestnicy podróży do Smoleńska stali się zakładnikami tak myślącej, ksenofobicznej partii. Czego uczy nas katastrofa? Jej sens powoli dociera do prostych ludzi bo odsłaniająca się prawda jest okrutna. Poraziło nas odkrycie do czego prowadzi uparte trzymanie się błędnych diagnoz politycznych. Nasze oczy z trochę także wyobraźnia patrzyły na trudne do zidentyfikowania szczątki dziewięćdziesięciu sześciu ofiar, którzy w większości byli ludźmi szczególnego zaufania. Reprezentowali nasze polityczne interesy, wyborcy każdemu z nich ufali bo wedle deklaracji oni ich bronili. Niekiedy się mylili, ale na ogół liczyli się z nadrzędnością instytucji i zasad, by skutki błędów nie naruszały kondycji państwa. Katastrofa uzmysłowiła nam groźę przyczajoną w fałszywych diagnozach politycznych. Tej prawdy nie okupi się żalem, apelami o „chwilę zadumy” a nie zmyje łzami. Dlatego moje myśli na temat tragicznej katastrofy opatruję tytułem: Niepotrzebna podróż – zmarnowane biografie. Pomysł by kampanię wyborczą pretendenta do powtórnej elekcji rozpocząć od „patriotycznego” widowiska zakończył się katastrofą. Oczywiście ludzie są do zastąpienia, ale świat bez nich, bez ich doświadczenia będzie inny. I zapewne przez długi czas nie będzie lepszy. Słabsza będzie kondycja państwa, niedobre a może wręcz chore będą stosunki między ludźmi. Polityka zawsze rządziła i decydować będzie niepodważalna reguła: nie intencje są ważne lecz skutki działań. Nie to ma znaczenie czego chciał polityk zapewniający, że jest najlepszym patriotą (a może jedynym?). Ważne jest to, co mu z jego wyszło. Wyborcy mają więc nie tylko prawo, mają obowiązek powiedzieć temu politykowi: „A jak nie potrafisz nie pchaj się na afisz”!

**Władysław LORANC**

## ŚMIERĆ PREZYDENTA

Śmierć Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego i towarzyszących Mu osób w dniu 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem pogrążyła kraj w żałobie. Prezydent nie był osobą popularną, wątpliwe były jego szanse na reelekcję w planowanych na jesień wyborach prezydenckich, ale reprezentował cały polski naród, był naszym najwyższym przedstawicielem, został wybrany demokratycznie w roku 2005 w wyborach powszechnych i z tego względu zobowiązani jesteśmy, niezależnie od naszych poglądów politycznych, czy naszego osobistego zdania, do najwyższego szacunku. Zginął Prezydent Rzeczypospolitej.

Polacy przeżyli szok – tragiczne zakończenie misji prezydenckiej, śmierć towarzyszących Mu w locie żony, przedstawicieli rządu, parlamentu, najwyższych wojskowych, duchownych obrządku katolickiego i prawosławnego, członków osobistej ochrony i pilotów pogłębiło powszechne poczucie ogromnej straty. Polska pogrążyła się w żałobie.

Żałoba przyjęła nadzwyczajne proporcje – setki tysięcy zniczy po prezydenckim pałacu, pielgrzymki do miejsc związanych z życiem prezydenckiej pary i innych tragicznie zmarłych,

dziesiątki tysięcy widzów oddających cześć konduktom przemierzającym ulice Warszawy robiły wrażenie na wszystkich Polakach i zagranicznych obserwatorach.

Niestety, powszechna żałoba szybko przerodziła się w polityczny konflikt.

Kardynał Dziwisz jednoosobowo, łamiąc prawo kanoniczne, zdecydował, że jedynie godnym miejscem pochówku prezydenckiej pary jest Wawel – miejsce spoczynku królów i narodowych bohaterów. Ta decyzja, niewątpliwie wypływająca z pobudek politycznych, podzieliła naród. Szanujemy pamięć Lecha Kaczyńskiego, ale na pewno nie był on bohaterem godnym zająć miejsce w tym samym szeregu, co Kościuszko, Piłsudski czy Jan III Sobieski. Kard. Dziwisz bardzo się pośpieszył – wyprzedził oficjalne inne ewentualne propozycje: Katedry Św. Jana, miejsce pochówku Prezydentów RP Narutowicza i Mościckiego, Powązek Wojskowych, gdzie spoczywa Prezydent RP Wojciechowski, czy Świątyni Opatrzności Bożej, która w zamiśle emerytowanego Prymasa, Kardynała Glempa, ma być narodowym sanktuarium i gdzie spoczął ostatni Prezydent RP na Uchodźctwie, Kaczorowski. Było by to dobre powiązanie – Kaczorowski i Kaczyński, podkreślenie ciągłości niepodległej Polski. Ale Kard. Dziwisz wyprzedził jednak swoich konkurentów z Episkopatu, przebił ofertę Wawelem. To, że podzielił naród, nie miało dla niego znaczenia – istotne było przejście dusz konserwatywnych, obskuranckich Polaków, których w czasie prezydentury reprezentował Lech Kaczyński i Partia Prawo i Sprawiedliwość pod przewodnictwem jego brata bliźniaka Jarosława.

Lech Kaczyński stanie się ikoną Polski, która odchodzi w przeszłość. Takie są też komentarze prasy zachodniej. „The Economist” w nekrologu z dnia 11 kwietnia 2010 roku pisze: „On był postacią z innych czasów”. Francuski „Liberation” wspomnienie opublikowane w dniu 13 kwietnia 2010 roku, napisane przez Jeana Quatremera zostało zatytułowane „Lech Kaczyński: śmierć reakcyjnego nacjonalisty”. Oba te czasopisma nie należą do lewaków, to stateczne, liberalno – konserwatywne periodyki. Francuzów i Anglików nie obowiązuje w tym przypadku „Efekt Diany” (artykuł prof. I. Krzemińskiego) „Zwolennicy prezydenta to mniejszość”, „Rzeczypospolita” z dnia 16 kwietnia 2010 roku) – jej śmierć także wywołała powszechną żalobną histerię nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale prawie w całej Europie. Europejczycy, w dobie środków masowego przekazu, przede wszystkim telewizji, lubią uczestniczyć w imprezach masowych, ale szybko o tych ważnych dziś, zapominają, zaaferowani jakimś innym wydarzeniem.

Lech Kaczyński przejdzie do historii, jako współtwórca rządu PiS: reakcyjnego, bigoteryjnego, eurosceptycznego, nieliczącego się z odczuciami większości społeczeństwa co do wielu osiągnięć czasu PRL, który tworzyli Polacy. Kojarzona z nim i jego bratem lustracja to nagonka na wszelkich inaczej, niezależnie myślących. Stworzenie list proskrypcyjnych rzeczywistych i domniemanych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, selektywnie wykorzystywanych, jako narzędzie sprawowania władzy. Współpraca z Ligą Polskich Rodzin – antysemitką, ksenofobiczną partią, której elektorat w końcu PiS przejął, to jedna z najciemniejszych kart historii polskiej polityki.

Tragicznie zmarły Prezydent opierał się na tej części Polski, której znaczenia nie doceniano, a która ciągnie nasz kraj w przeszłość, już nawet nie XX wiek II Rzeczypospolitej, ale wręcz w czasy szlacheckich szlagonów XVIII wieku, którym nasz kraj zawdzięcza upadek w roku 1795.

Jego niewątpliwą zasługą było uświadomienie nam, jak dużo jest jeszcze do zrobienia, jeśli chcemy, by Polska była pełnoprawnym i rzeczywistym partnerem innych krajów Unii Europejskiej.

**Daniel S. ZBYTEK**



# WOBEC WYBORÓW PREZYDENCKICH

## Wyzwanie i szansa lewicy

Tragedia pod Smoleńskiem wstrząsnęła Polską. Powszechna żałoba połączyła – inna rzecz, że na krótko – ludzi, którzy przed tą fatalną sobotą znajdowali się po przeciwnych stronach politycznego przedziału. Spowodowała, że zdecydowana większość Polaków inaczej spojrzała na dzisiejszą Rosję, która łącząc się z nami w żałobie a zarazem otwarcie mówiąc o zbrodni katyńskiej i jej sprawcach dokonała wielkiego kroku ku pojednaniu obu narodów.

Śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego postawiła państwo polskie przed poważnym wyzwaniem. Konstytucja 1997 roku, wzorowana w tej sprawie na konstytucji marcowej 1921 roku, czyni Marszałka Sejmu tymczasową głową państwa. Nakazuje mu także wyznaczenie terminu wyborów prezydenckich i to na niezbyt odległy termin – nie dłuższy niż sześćdziesiąt dni od dnia ogłoszenia wyborów, co musi nastąpić w ciągu czterech dni od opróżnienia się stanowiska prezydenta. Bronisław Komorowski znalazł się w trudnej sytuacji, gdyż nieoczekiwanie stał się równocześnie tymczasową głową państwa i kandydatem najsilniejszej partii w wyborach prezydenckich. Sposób, w jaki pełni obowiązki prezydenta, jest bacznie obserwowany a przez PiS krytykowany zawsze wtedy, gdy nie realizuje on domniemanego „testamentu” zmarłego prezydenta.

Wybory prezydenckie 2010 roku odbywać się będą w innej sytuacji niż ta, której oczekiwano przed smoleńską katastrofą. Zmienił

się polityczny i psychologiczny kontekst tych wyborów, zmienił się układ sił.

Wielu komentatorów oczekuje, że odbywane w cieniu narodowej tragedii wybory będą się odbywały w klimacie umiaru i poszanowania przeciwników, czego tak bardzo brakowało polskiemu życiu politycznemu od obu kampanii wyborczych 2005 roku. Chciałbym, by tak było. Polityka jest dziedziną sporu, ale nie musi być przepojona wrogością i nienawiścią. Czy jednak tak będzie?

W pierwszych tygodniach po katastrofie pojawiły się głosy nienawiści. Jej głosiciele chcą z tych trumien zbudować kapitał polityczny. Zdzisław Krasnodębski, Antoni Macierewicz, Jarosław Marek Rynkiewicz i paru innych już w pierwszych dniach żałoby narodowej zaczęli szczerze przeciw tym, którzy różnili się politycznie z Lechem Kaczyńskim i odrzucali politykę Prawa i Sprawiedliwości. Niestety wtórował im Jarosław Kaczyński w liście przesłanym na pogrzeb ministra Aleksandra Szczygły pisząc: „Musimy podjąć tak nagle przerwane ich dzieło. Być może przegramy, być może owoców naszej pracy nie doczekamy, być może nie uda nam się jeszcze tym razem powrót do Polski. Ale musimy dać świadectwo”. Ewa Milewicz słusznie stwierdza, że „jeśli te słowa są przemyślane, jeśli nie wynikają ze stanu emocjonalnego prezesa PiS, to znaczy, że do Polski ze Smoleńska przybywa partia gniewu, łomotu, porachunków” (*Gazeta Wyborcza*, 23 kwietnia 2010).



Poważni publicyści nie ukrywają, na czym polegały różnice dzielące tragicznie zmarłego prezydenta i jego krytyków. Jerzy Baczyński i Janina Paradowska stawiają kluczowe pytanie „o sens prezydentury w Polsce”, o to, „czy ma być prezydenturą obywateli czy Narodu?” i przypominają, że „pytanie o dorobek tej prezydentury, która do czasu katastrofy miała tak niskie społeczne poparcie, pozostaje” („Pomnik prezydenta”, *Polityka*, 24 kwietnia 2010). Wybory będą w dużej mierze próbą oceny tego rodzaju prezydentury, który prezentował Lech Kaczyński i który stawia nam za wzór jego brat, zarazem szef Prawa i Sprawiedliwości i kandydat tej partii na stanowisko prezydenta.

Jak to czynić najskuteczniej? Niesozły kandydat centrolewicy Tomasz Nałęcz, dowodzi, że lewica nie powinna wystawiać własnego kandydata, gdyż to rzekomo utrudnia walkę przeciw naporowi PiS. Nie zgadzam się z tym poglądem.

Kandydat lewicy w pierwszej turze nie zmniejsza a zwiększa prawdopodobieństwo zapobieżenia wyborowi kandydata PiS. Gdyby takiego kandydata nie było, część wyborców lewicy albo została by w domach, albo nawet głosowała na Jarosława Kaczyńskiego z tych samych powodów, dla których w 2005 roku Lecha Kaczyńskiego poparli tacy lewicowi politycy jak Adam Gierek i Ryszard Bugaj, to znaczy



**Kandydat lewicy na urząd Prezydenta RP – przewodniczący SLD Grzegorz Napieralski**

Jeszcze niedawno oczywiste wydawało się, że Lech Kaczyński nie ma szans na reelekcję. Wybory czerwcowe pokażą, czy tragedia smoleńska zmieniła nastawienie wyborców. Jarosław Kaczyński stara się uzyskać sukces, który miałby głęboki, polityczny i symboliczny, sens: byłby zwycięstwem z za grobu „prezydenta Czwartej Rzeczypospolitej”. Ma do tego prawo, ale ci, którzy z taką wizją się nie zgadzają, mają niemniejsze prawo przeciwstawienia się tej moralno-politycznej ofensywie.

z uwagi na program socjalny. Gdy do wyborów przystąpił kandydat lewicy, ludzie ci mają na kogo głosować w zgodzie z własnymi przekonaniami. Oznacza to zwiększenie szansy na to, że rozstrzygnięcie nastąpi dopiero w drugiej turze. Wtedy można będzie decydować, kogo, w jaki sposób i na jakich warunkach poprzeć. Uważam, że w żadnym wypadku lewica nie powinna poprzeć Jarosława Kaczyńskiego, ale uważam także, że jej poparcie dla Bronisława Komorowskiego – jeśli, co wydaje się najbar-

dziej prawdopodobne, to oni wejdą do drugiej tury – nie może być dawane na kredyt, bez wyraźnych uzgodnień co do tego, jaka ma to być prezydentura. Bez takich uzgodnień w drugiej turze wyborcy lewicy pozostaną w domach.

Kandydatem lewicy jest przewodniczący SLD Grzegorz Napieralski. Ma on poparcie nie tylko własnej partii, lecz także wielu autoritetów lewicy i licznych organizacji społecznych, w tym Towarzystwa Kultury Świeckiej imienia Tadeusza Kotarbińskiego. Młody przywódca SLD wziął na swoje barki zadanie, które miało przypaść Jerzemu Szmajdzińskiemu. Mam wielki szacunek dla tej decyzji.

Niektórzy krytykują tę decyzję. Tomasz Nałęcz uważa, że utrudni ona zatrzymanie ofensywy PiS. Nie ma racji, gdyż, jak poprzednio pisałem, w pierwszej turze istnienie lewicowej alternatywy zwiększa – a nie zmniejsza – prawdopodobieństwo tego, że o wyniku zadecyduje dopiero druga tura. Nie ma też racji, gdy ubolewa nad tym, że nie ma wspólnego kandydata całej lewicy. Znalezienie takiego kandydata byłoby cenne, ale wysiłki w tej sprawie czynione rozbiły się o uporczywe domaganie się, by kandydat ten był możliwie daleki od SLD – jedynej rzeczywiście liczącej się partii lewicowej w Polsce.

Włodzimierz Cimoszewicz w wywiadzie, który mnie przykro zaskoczył (*Gazeta Wyborcza*, 24–25 kwietnia br.), dowodzi, że Napieralski nie jest politykiem dostatecznie dojrzałym. Oczywiście, obecny kandydat lewicy jest o ponad dwadzieścia lat młodszy i nie ma tak imponującego dorobku politycznego, jak były premier, marszałek Sejmu, minister sprawiedliwości a później spraw zagranicznych. Aleksander Kwaśniewski słusznie jednak odpowiada na ten zarzut mówiąc, że „dojrzewanie musi się kiedyś zaczynać”. Przypomnę nadto, że dwadzieścia lat temu, gdy Cimoszewicz oddał lewicy wielką przysługę kandydując – na z góry przegranych pozycjach – w pierwszych powszechnych wyborach prezydenta, był tylko o cztery lata starszy niż Napieralski obecnie, posłem był przez nieco więcej niż rok (a nie sześć lat, jak obecny kandydat) i poza przewodnictwem Parlamentarnego Klubu Lewicy Demokratycznej nie pełnił w przeszłości żadnej znaczącej funkcji politycznej (Napieralski zaś był kolejno wiceprzewodniczącym, sekretarzem generalnym i przewodniczącym SLD). Młodość i brak doświadczenia politycznego nie przeszkodziły

w 1990 roku Cimoszewiczowi w zajęciu czwartego miejsca i uzyskaniu wyniku, który był podwaliną późniejszych sukcesów lewicy w kolejnych wyborach. Uzyskane wówczas przez Cimoszewicza niespełna dziesięć procent głosów słusznie potraktowaliśmy wtedy jako sukces, za który my – ludzie lewicy – jesteśmy ówczesnemu kandydatowi lewicy wdzięczni. Pokazał, że lewica liczy się i uitorował drogę do znacznie lepszych wyników w kolejnych wyborach. Mam nadzieję, że co najmniej to samo uda się Grzegorzowi Napieralskiemu.

Dla ruchu laickiego wybory są kolejnym wyzwaniem, w którym idzie o upomnienie się o neutralność światopoglądową państwa. Kontrolerska decyzja o pochowaniu Lecha i Marii Kaczyńskich na Wawelu krytykowana była nawet w gronie biskupów, a wypowiedzi niektórych dostojników Kościoła Katolickiego po smoleńskiej tragedii, podzieliły go i zraziły wielu wierzących tonem bezkompromisowej walki i potępienia dla tych, którzy nie są entuzjastami „Czwartej RP”. „Żałoba narodowa Kościoła nie scaliła” – trafnie pisze Katarzyna Wiśniewska (*Gazeta Wyborcza*, 21 kwietnia br.).

Dla ruchu laickiego nie jest obojętne to, że o miejscu wiecznego spoczynku Prezydenta RP decydują nie władze Rzeczypospolitej a władze kościelne. Jest w tym niebezpieczna dla demokracji polskiej symbolika, w istocie niezależna od tego, czy Lech Kaczyński na Wawel zasłużył.

Miejsce naszego ruchu było i jest na lewicy. Jest ona w bardzo trudnej sytuacji, ale nie stoi na straconych pozycjach. Wybory prezydenckie 2010 roku muszą pokazać, że lewica w Polsce nie tylko istnieje, ale potrafi wpływać na to, kto i jak będzie rządził. Dlatego głos oddany na Grzegorza Napieralskiego jest głosem za Polską nowoczesną, otwartą na świat, tolerancyjną, wolną od zacierzwienia i ideologicznego dyktatu. Za Polską, która jest wspólnym domem wszystkich jej obywateli.

### Przypis

<sup>1</sup> W latach dwudziestych dwukrotnie Marszałek Sejmu Maciej Rataj obejmował tymczasowo stanowisko głowy państwa: po zamordowaniu w grudniu 1922 roku Gabriela Narutowicza oraz po wymuszonej przez zamach stanu rezygnacji Stanisława Wojciechowskiego w maju 1926 roku. Wtedy jednak prezydenta wybierało Zgromadzenie Narodowe, co upraszczało procedurę sukcesji.

Jerzy J. WIATR

# Ludwika Dorna porachunki z PiS

## Refleksje po lekturze wywiadu-rzeki

### *Rozrachunki i wyzwania*

---

Polska – kraj co prawda niewielki lecz zdaniem inteligentów skupionych wokół PiS-u szczerze nasycony znakomitościami. I przekonanie, zaraźliwe jak katar, udziela się także ludziom Platformy, drugiej prawicowej partii rywalizującej z tą pierwszą o udzielenie właściwej odpowiedzi na pytanie gdzie tych zdolnych, a zarazem przyzwoitych, jest więcej: u nas czy u was?

Dwie panie: Amelia Łukasiak i Agnieszka Rybak opublikowały wywiad-rzekę z panem Ludwikiem Dornem. Wywiad dłuższy niż najdłuższa z polskich rzek. Autorki zwracają w nim uwagę na dwie znakomitości ze zbioru gwiazd klasy najwyższej: „Ludwik Dorn, analityk znakomicie uzupełniający Jarosława Kaczyńskiego znakomitego przywódcę i stratega”. Bohater wywiadu nie oponuje, lecz pamiętając kto stoi na brzegu rzeki i obserwuje zawodników, powołuje się na opinię autorytetu najwyższego, a jest nim Adam Michnik. W 1990 roku skomplementował on twórcę PiS J. Kaczyńskiego słowami: „Stworzyłeś partię z niczego i przeciw wszystkim”. L. Dorn do tych słów dodaje od siebie: „Trudno o większy komplement”. Nie zauważa jednak, że z niczego i przeciw wszystkim można stworzyć organizację taką jak mafia a nie partia. Uznając ten komplement za hołd, a zarazem za dowód jego zasadności, analityk nie potwierdza swych kompetencji. Po kilkunastu latach gry w tercecie „trzech bliźniaków” właśnie on nie miał wątpliwości, że z gwiazdzbioru znakomitości wypadł nie tylko J. Kaczyński, ale i jego brat Lech. Dał temu wyraz w rozmowie z autorkami wywiadu. Na ósmej stronie książki

czytamy: „Prezes J. Kaczyński załamał się psychicznie, moralnie, intelektualnie i politycznie pod ciężarem prezydentury swojego brata Lecha Kaczyńskiego (...) całkowicie się wypalił (...) Ta czaszka już się nie uśmiechnie”. Cytat z Szekspira wyjaśnia dlaczego recenzję książki opatruję nadtytułem już zaczerpniętym z dzieła dramaturga, który na polityce znał się jak chyba nikt w światowej literaturze.

W czasie minionym lecz dobrze pamiętanym, bo więcej wtedy uwagi poświęcano sprawie chleba niż sprawie igrzysk, chętnie opowiadano dowcip: „Jaka jest różnica między jabłkiem a partyjnym działaczem? Jabłko spada, gdy dojrzeje, a działacz dojrzewa, gdy spadnie”. To właśnie przydarzyło się L. Dornowi. Nie zrobił kariery naukowej lecz z sukcesem budował swą karierę polityczną. Tworzył niewiele znaczące teksty polityczne, ale tkwiły one korzeniami w życiu a nie w literaturze. Pojmował je jednak literacko. O strajkach sierpniowych pisał tak: „Nie potrafią rozstrzelać (to o władzy –WL.) a nie mają dość kiełbasy żeby zapchać żołądki wściekłym ludziom i w ten sposób ich spacyfikować”. Nie interesował się podmiotowością robotników, położeniem chłopów, izolacją inteligencji. Dla Dorna politycznym programem był L. Dorn. Ta ważna cecha postawy doprowadziła go do sojuszu z organizatorami partii Porozumienie Centrum, a później z J. Kaczyńskim, głównym kreatorem „Prawa i Sprawiedliwości”. On przyciąga do siebie ideą powrotu do II RP i przekonaniem, że siłą społeczną dziś zdolną to osiągnąć jest inteligencja. L. Dorn w wywiadzie tak tłumaczy tę ideę: „ Druga Rzeczpo-

spolita, która była państwem inteligenckim, związała ze sobą na śmierć i życie naród w całym jego przekroju społecznym. Polskę przed bolszewikami ocalił wcielony do wojska polski chłop”. A wcielał go w kamasze właśnie inteligent. Żoliborska elita zaczęła marzyć o powtórce z historii. Gdy chaos po obaleniu programu „Okragłego Stołu” otworzył drogę do władzy pogrobowcom endecji, ksenofobom z chadecji i spadkobiercom sanacyjnych pułkowników, gra o władzę skomplikowała się. Główna idea Kaczyńskich, że liczy się naród jako całość a nie poszczególne środowiska „zawisła w powietrzu. Nabrała znaczenia bezpośrednia walka o władzę. Było się przeciwieństwem, ale z ambicjami na rządy silnej ręki. To L. Dorn zaproponował nazwę nowej partii: „Prawo i Sprawiedliwość”. Jak rozumiano prawo zademonstrował Ziobro przekonując swoich, że dobrze sformułowany zarzut zwalnia od żmudnego i medialnie nieatrakcyjnego udowadniania winy. Jaka ma być s p r a w i e d l i w o ś ć demonstrował M. Kamiński dając swoim pretorianom nagrody w wysokości 150–170 tysięcy złotych, podczas gdy walczący z gangsterami policjant otrzymywał nagrodę 800–1000 złotych.

L. Dorn jeden z liderów partii, także minister i marszałek Sejmu stał się zakładnikiem sytuacji w której rząd był już tylko zbiorowiskiem osób przyjmujących projekty ustaw. „Realne decyzje zapadały gdzie indziej (...) Ten rząd i ta partia nie funkcjonowały” (s. 171). Autor zacytowanej opinii włączył się do gry o reformę państwa. Mówi w wywiadzie: „Próbowałem reformy caratu poprzez przekształcenie go w monarchię konstytucyjną bez detronizacji Najjaśniejszego Pana. I tak przegrałem”. Taktykę pozbawiania go wpływów tłumaczy nadużywaniem argumentów etycznych dla celów politycznych. Pisze: „Jest to ulubiony zabieg pana Kaczyńskiego: powiedzenie, że jeśli się ze mną politycznie nie zgadzasz to moralnie jesteś świnią” (s. 15). Przegrał w starciu ze środowiskiem, którego formy organizacyjne były przeciwieństwem także jego dziełem. To zabolalo i w tym bólu Ludwik Dorn zaryczał!

Dojrzwianie dopiero po upadku nie zobowiązuje do współczucia przegranemu, ale nie powinno się też przejść obojętnie wobec jego skarg, bo są w nich refleksje pouczające, a bywa że ważne. Nie tylko politycy lecz także wyborcy mogą się dużo nauczyć czytając

wywiad-rzekę. Podam jeden przykład. Autor wspomina, że w styczniu 2001 roku powstała PO, a pół roku później zorganizowano PiS. We wrześniowych wyborach 2001 roku nie kwestionowanym zwycięzcą była Lewica kierowana przez Leszka Milera. I tu pada ważna konkluzja: „Od 1989 roku nieważne kto dochodził do władzy, w sferze gospodarki i tak rządził Leszek Balcerowicz. Jego koncepcja była realizowana niezależnie od tego czy formalnie był w rządzie czy też nie”. Nasz autor mówi wprost, że tylko L. Balcerowicz wiedział dlaczego jest w rządzie i po co rządzi, a nie wiedział tego już ani Buzek ani Krzaklewski. Dlatego bez znajomości tej książki trudniej rozumiemy o co toczy się walka między dwiema pravicowymi partiami. Trudniej rozumiemy także przyczyny zaostrzenia sporów o politykę obronną. Łatwiej ją analizować nie tylko i nie tyle na tle katastrofy samolotu pod Smoleńskiem lecz na tle zestawienia z konkluzją, którą Dorn powtórzył w wywiadzie: „Obecnie polskie siły zbrojne są w przededniu likwidacji, która będzie następować w latach 2010–2020” (s. 213). Książkę Dorna z pożytkiem przeczyta każdy kto sądzi, że od rozstrzygnięcia sporu PO czy PiS zależą losy kraju. Od tego nie zależy nasza przyszłość i dlatego zakończę te refleksje w nietypowy sposób. Przedstawię mój punkt widzenia tylko tematem związany z książką o której piszę.

To, co w Polsce powstało, ma mniej cech ustroju demokratycznego a znacznie więcej cech oligarchii. Warunki w jakich znalazło się społeczeństwo nie uzasadniają użycia określeń typu: „władza ludu” czy „władza narodu”. Lud nie ma władzy, bo nie ma wpływu na ruch kapitału. Narzucono mu spór o IPN a nie rozmawia się z nim o krążeniu kapitałów. Ludzie pracujący nie mają wpływu na ustalenie ceny ich pracy i na ochronę warunków jej wykonywania. Nie są pewni swego bezpieczeństwa. Ich wpływ za pośrednictwem aktu wyborczego jest wąty i krótkotrwały. W statystycznie powszechnym odczuciu obywateli ludzie administrujący państwem polskim w małym stopniu są ich plenipotentami, a w niepokojąco dużym rzecznikami instytucji globalnego kapitalizmu. Wynikających stąd zagrożeń nie równoważy troska państwa o najchętniej cytowane wartości: „Bóg – naród – życie od poczęcia do naturalnej śmierci”. Wartości są tak celowo sformułowane by uzasadnione było doczepianie do Dekalogu

jedenastego przykazania. „Gdy zepsuciu ulega cała kultura moralni przywódcy muszą rządzić narodem wbrew jego woli” – a takie właśnie credo lansują zwolennicy amerykańskiej rewolucji konserwatywnej. W Polsce patrzy w ich stronę przede wszystkim PiS. Dlatego J. Kaczyńskiemu warto przypomnieć, że nawet wartości zwane absolutnymi nie uprawniają nikogo do wyłączenia obywatela z jego praw konstytucyjnych. Jedyłą wartością stałą jest człowiek: gdy się rodzi jest wolny, gdy pracuje ma swą godność, solidarny jest z każdym co broni praw innego człowieka. Dlatego podobnie jak L. Dorn odmawiam poparcia zwolennikom „rewolucji moralnej”. Różnię się jednak od niego tym, że popieram SLD. Jest to lewicowa alternatywa. Ma nadal wyborców. Jest siłą jedynie zdolną do zorganizowania oporu przeciw politykom, którzy profesorom zazdroszczą rozumu, robotnikom poczucia godności pracy, a centroprawicowej partii sztuki rozwiązywania konfliktów. Tolerowanie polityki PiS-u

zapowiada katastrofę. Realne wyjście jest tylko jedno. Już w wyborach prezydenckich, a zdecydowanie w parlamentarnych udowodnić istnienie lewicowej alternatywy opartej na trzech założeniach: polityka dobrego sąsiedztwa w niepodzielonej Europie, społeczne stosunki w kraju oparte na poszanowaniu godności pracy, urząd demokratyczny testowany równą szansą obywateli w dostępie do oświaty, kultury i podstawowej ochrony zdrowia. Wyborca popiera każdego, co broni demokracji, ale ten akt polityczny wymaga nie tylko odrzucenia rządów autorytarnych. On wymaga odwagi sprzeciwu wobec oligarchów.

Po prostu trzeba wybierać demokratyczną koncepcję życia, a nie tylko demokrację aktu głosowania. A tego nie rozumie Ludwik Dorn, mimo że zdecydował się na bunt wobec Jarosław Kaczyńskiego.

**Władysław LORANC**

Amelia Łukasik, Agnieszka Rybak, Ludwik Dorn: „Rozrachunki i wyzwania”. Wydawnictwo Prószyński i s-ka, Warszawa 2009.

## **Henryk Jan MIELCAREK** Poznań

## **Z LISTÓW DO REDAKCJI**

Na pytanie po co prezydent Lech Kaczyński z tak liczną świtą poleciał do Katynia i to zaledwie w trzy dni po wizycie premiera Donalda Tuska, nieodparcie przychodzi na myśl jedną, jedyną odpowiedź. Chciał, w otoczeniu licznej świty państwowych notabli, przyćmić swoją obecnością wcześniejsze pochylenie głów obu Premierów, nad grobami pomordowanych. Chciał dowieść, pompą swego zachowania, że tylko on – jedyny i prawdziwy patriota – ma prawo okazywać żal, manifestować narodową żalobę. Wygląda też na to, że gest pojednania premierów Polski i Rosji, którzy wyciągnęli do siebie w Katyniu dłonie, zamierzał uznać za banalne zdarzenie, nie warte przypominania.

Czy można zatem obciążyć winą za wypadek tragicznie zmarłego Prezydenta? Raczej nie. On takiego przebiegu swojej wizyty nie zaplanował ani nie przewidział. Mimo wszystko jest to jego – jakże tragiczna – „zasługa”. Kto wie, czy to nie on zadecydował o lądowaniu w Smoleńsku, bo odlot na jakiegokolwiek inne lotnisko, zmusiłby do odwołania zaplanowanych uroczystości w Katyniu. Rzecz nie do przyjęcia dla nieustannie, przez cały prezydencki staż demonstrowanej, nieposkromionej pychy.

Dziś, po ponad miesiącu od tragedii, pozwólm sobie również na chwilę zadumy poświęconą pochówkowi Prezydenta. Zastanówmy się czy i czym zasłużył sobie na Wawel? Pomyślmy też czy podziemia katedry wawelskiej to wyłączna własność hierarchicznego Kościoła? Czy raczej Kościoła naprawdę powszechnego, z jakim wielu, ja także, się utożsamiam? Poza tym Wawel, łącznie z katedrą to przecież narodowa własność; dziedzictwo całego społeczeństwa. Niestety, o zdanie innych, w tym Rządu RP, nikt z hierarchów kościelnych nie zapytał. Wystarczył wniosek jednej i to nie najbardziej popieranej przez społeczeństwo partii. Zgroza.

Na całe szczęście dzisiaj już nikt – po początkowych, odruchowych protestach – nie demonstruje oburzenia. Chyba dlatego, że pojawił się zamiar uhonorowania pozostałych ofiar smoleńskiej katastrofy wykutą w brązie i zamieszczoną w krypcie Srebrnych Dzwonów pełną listą nazwisk tych, co razem z Prezydentem RP odeszli.

# WITAMY XI Zjazd Krajowy

Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego



Witamy XI Zjazd Krajowy Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego w okolicznościach szczególnych: smoleńskiej katastrofy i wyborów prezydenckich w naszym kraju.

Zjazd z całą pewnością odniesie się do tych dwóch wydarzeń: sformułuje idee i myśli, które zaświadczą o obywatelskiej odpowiedzialności świeckich humanistów za dalszy bieg polskich spraw oraz sformułuje oczekiwania, jakie pragnie łączyć z wyborem nowego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Ruch nasz był bowiem zawsze aktywnie obecny w najszerzej przestrzeni życia społecznego i takim pragnie być nadal.

Aby tę ważną rolę odgrywać ruch musi posiadać zdolność do jej pełnienia. Tę zdolność może zapewnić jego klarownie sformułowany program, trwały w swych fundamentach, zarazem otwarty na zmiany warunkowane przemianami współczesnej rzeczywistości Polski i świata – i ruch nasz ma taki program; może zapewnić wewnętrzną siłę ruchu, potencjał jego członków i sympatyków, ich aktywność, skala ich obecności w różnych przejawach życia zbiorowego – tu zapewne jest jeszcze wiele do zrobienia; może zapewnić ogólniejszy klimat w państwie, które przestrzega zasad tolerancji i równego traktowania obywateli niezależnie od ich przekonań politycznych czy orientacji światopoglądowych – te zasady państwa demokratycznego ruch musi stale przypominać i stać na straży ich przestrzegania.

O tych wszystkich niezwykle ważnych kwestiach dla ruchu XI Zjazd Krajowy naszego Towarzystwa wypowie zapewne słowa ważne i wypowie je dobitnie.

Życzymy Zjazdowi sukcesu.

**Zespół RES HUMANA**

## JUBILEUSZE WYBITNYCH UCZONYCH – HUMANISTÓW

W ostatnim czasie polska nauka i środowiska związane ze światem nauki z najwyższym szacunkiem świętowały wspaniałe Jubileusze wybitnych polskich uczonych – humanistów, humanistów wśród nich

Profesora Jerzego ŁADYKI

Profesora Władysława MARKIEWICZA

Profesora Janusza SZTUMSKIEGO

Profesora Andrzeja WALICKIGO

Z tej okazji Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz Redakcja „RES HUMANA” skierowały do Jubilatów listy gratulacyjne, w których wyrażono najwyższy szacunek dla Ich wielkich zasług dla polskiej nauki i kultury, dla wartości humanistycznych, których byli i pozostają niezłomnymi obrońcami, dla Ich intelektualnej odwagi, dzięki której nie gaśnie nasza ufność w życie mądre, roztropne i godne w świecie ludzkim.

---

# DAR ŻYCIA I BÓL ŻYCIA

---

Człowiek wobec dobra i zła, wobec pracy i stanu bez zatrudnienia, wobec choroby i cierpienia – oto realny świat człowieka, zarazem krąg problemów, które skupiają uwagę Autorów drukowanych niżej tekstów, do lektury których bardzo zachęcamy.

Red.

Mieczysław MICHALIK

## CZŁOWIEK: w świecie dobra i zła

---

Przypomnijmy na początku słowa Arystotelesa:

*„To bowiem jest właściwością człowieka – odróżniającą go od innych i stworzeń żyjących, że on jedyny ma zdolność rozróżniania dobra i zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości i tym podobnych; wspólnota zaś takich istot staje się podstawą rodziny i państwa.”*

Właśnie – ta zdolność wyróżnia człowieka, jest znamieniem jego człowieczeństwa, nadaje mu godność, oznacza jego wielkość. Zarazem wszakże stanowi podłoże dramatyzmu jego istnienia oraz podłoże jego poniżenia, przez zło wyrządzane z samowiedzą i celowo, także z przyjemnością i satysfakcją.

Dobro – zło: immanentne, niezbywalne elementy ludzkiej egzystencji. Uniwersalność oraz trwałość pojęć i dotyczącej ich problematyki odpowiada powszechności i „odwieczności” zachowań ludzkich, sytuacji, stosunków społecznych itp. określanych przy użyciu tych podstawowych w człowieczym leksykonie kategorii. A cóż oznacza tu owa powszechność i „odwieczność” – oczywiście w rozumieniu bardzo skrótowym i elementarnym?

### 1.

Przejdźmy otóż do przykładowego przybliżenia kilku kwestii ukazujących wzajemne przenikanie się w naszym życiu dobra i zła. Jest to szeroka i kontrowersyjna, w pełni już autonomiczna kwestia **relatywizmu moralnego**. Tu przypomnijmy jedynie, że pojęcie relatywizmu używane bywa w różnych znaczeniach, jest różnie pojmowane i interpretowane. Zaiste trudno o lepszy przykład pojęciowej wieloznaczności powodującej zamęt, nieporozumienia, prowadzącej w analizach także do symplifikacji oraz falsyfikacji poszczególnych stanowisk. Rzecz nie tylko w tym, że pojęciem tym oznacza się różne zjawiska społeczne i różne koncepcje etyczne, a co za tym idzie, że różne stanowiska są przedstawiane jako relatywistyczne oraz poddawane mniej lub bardziej druzgocącej krytyce. Rzecz także w tym, że pojęcie relatywizmu bywa w sporach etycznych nadużywane, stosowane dla dyskredytacji adwersarza, niekiedy na drodze świadomych, celowych, oszczerczych imputacji poglądów łatwo poddających się krytyce, niekiedy zaś

w wyniku określonego, nasyconego emocjonalnie pojmowania relatywizmu i nakładania go na kwestionowane poglądy. Określenie jakiegoś stanowiska mianem relatywistycznego jest wówczas oskarżeniem – utożsamiane z amoralizmem, nihilizmem, skrajnym subiektywizmem. To zapewne sprawia, że tak częste są deklaracje antyrelatywistyczne, że także ci, którzy pod takim czy innym względem stają na stanowisku relatywizmu, odzegnują się od tego pojęcia.

Oczywiście – należy to wyraźnie zaznaczyć, iż podstawową kwestią jest **przeciwieństwo** dobra i zła, konieczność nabywania umiejętności rozróżniania ich i praktycznego jej stosowania. A zarazem jakże wiele danych wskazuje, że do tej umiejętności rzecz się nie sprowadza – że często nie tylko nie jest to możliwe, lecz nawet uwzględnienie tej prostej przeciwstawności staje się moralnym błędem, ze względu na złożoność ludzkich relacji i wieloaspektowość wartości, zasad moralnych. Są to historycznie zakorzenione kontrowersje dotyczące absolutyzmu, bezwzględności – czy względności owych wartości i zasad. Są one szeroko i wyczerpująco w literaturze omawiane – tutaj więc nie dowołujemy się do nich. W polskiej literaturze etycznej zajmowali się tymi kwestiami m.in. M. Ossowska, Ija Lazari-Pawłowska, A. Eilstein, L. Kołakowski, i wielu innych. Z jednej strony poszukiwanie niezmiennych i bezwzględnych praw moralnych – ów „głód absolutu” – z drugiej odwieczne „wszystko jest względne”, czy „wszystko płynie”.

Nie jest tak bynajmniej, jak twierdził Gandhi, iż „Dobro i zło istnieją obok siebie, a człowiek dokonuje wyboru”. Oby. Tak bywa w sytuacjach prostych, powtarzalnych – skłamać – powiedzieć prawdę, oddać czy zatrzymać znalezione pieniądze. Ale w sytuacjach złożonych, ekstremalnych? **Dramat polega właśnie na owym wyborze, kiedy prawda staje się zbrodnią, a kłamstwo bohaterstwem. Na splątaniu, przeplataniu się dobra i zła, ich konfliktowości, kiedy wolność wyboru jednego z nich rodzi niepewność i poczucie tragizmu.**

Można jednak nieco przekornie zapytać, czy przyjmując argumenty występujące po obu stronach sporów jest rnoże tak, że jedne wartości – składowe dobra, lub ich przeciwieństwa – są zawsze bezwzględne, absolutne, inne zaś zawsze względne? Często tak to jest przedstawiane.

Za zasadę bezwzględną uznaje się np. zasadę nakazującą szanować rodziców. A co z takim szacunkiem wobec ojca gwałciciela córki? Ma go szanować i milczeć – czy ujawnić i oskarżyć. Za bezwzględną wartość – dobro – uznaje się pokój. A pokój niesprawiedliwy – sankcjonujący zniewolenie i upodlenie? Żonglerki słowne niczego tu nie załatwiają. Tuwimoskie hasło: „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość”. Ale absolutyzacja prawa – czego przykładów dostarczają i polskie sądy – prowadzi do absurdów i nonsensów, do sytuacji, w których najwyższe stosowanie się do prawa staje się krzywdą najwyższą.

**Czyż zatem nie byłoby właściwiej przyjąć, że każde dobro i zło – w wielości ich postaci – będąc zasadniczo rozróżnialne i przeciwstawne i w tym znaczeniu bezwzględne – bywa zarazem względne przez swe odniesienia historyczne, kulturowe, sytuacyjne, podmiotowo-przedmiotwe. Że zatem – mówić należy o złożoności ich składników bezwzględnych i względnych, o ich jedności – a każdy z nich staje się takim, nabiera takiego znaczenia ze względu na swe odniesienia i funkcje.** Że zatem można założyć dyskusyjną tezę, iż „bezwzględność dobra” (W. Tatarkiewicz) podobnie zła jest o tyle również względna.

Odwołajmy się jedynie dla porządku do wartości życia – uznawanego powszechnie za wartość najwyższą, wymagającą ochrony („od poczęcia do naturalnej śmierci”), a które tak często jest poświęcane w imię jakichś innych wartości: pokoju, bezpieczeństwa, wolności, czy czyjogoś innego życia. Mówił K. Capek, iż życie jest taką wartością, że nawet oddaje się je zażycie.

Stwierdził w wywiadzie prasowym w r. 1999 amerykański autor dzieła „Przewodnik po etyce” A. Singer – a za wypowiedź tę był ostro krytykowany jako relatywista, zaniżający wartości życia: „Największą słabością tradycyjnej etyki jest utrzymanie pozorów, że każde – bez wyjątku – ludzkie życie jest święte. Twierdzi się, że przerywanie ludzkiego życia jest niedopuszczalne a jednocześnie to życie się odbiera – tyle, że w sposób zakamuflowany (...) lekarze akceptują dziś etykę jakości życia, a nie etykę jego świętości”. To zapewne duże uogólnienie, ale dotyczy ono realiów, praktyki, a nie deklaracji – mówią coś o tym przykłady z polskich



szpitali. Aksjologiczne wsparcie takich poglądów może stanowić opinia Seneki, iż „Dobrem nie jest samo życie, ale piękne życie”.

Za opiniami relatywizującymi dobro i zło, przy ich racjonalnych uzasadnieniach, czai się ogromne i realne niebezpieczeństwo – łatwych i wygodnych rozgrzeszeń zła, jego uzasadnień, pozornie racjonalnych rezygnacji z dobra, przejścia do zasady bezwzględnej relatywizmu oznaczającego już skrajny utylitaryzm i moralny cynizm.

**Powtórzmy, że dobro i zło w konkretnych sytuacjach, to nie tylko sprzeczność, przeciwieństwa, ale i pokrewieństwa, przenikanie się, jedność i zgodność.**

Założone przedstawienie przykładów takiego ich pojmowania ma stanowić nie tylko ilustrację tej tezy, ale i dowód na to, że takie pojmowanie jest raczej powszechne, może być przedstawiane racjonalnie, bez emocji – choć nie każdy z tych przykładów, nie każda teza mogą być pojmowane bezkrytycznie.

W licznych też sytuacjach życiowych potwierdzenie znajduje opinia Nietzschego, iż kto walczy z potworami, sam staje się potworem – zbyt trwałe zwalczanie jakiegoś zła staje się udziałem zwalczających je – paradoksalnie przechodzi na nich.

Na drugim, zaś biegunie mamy do czynienia z wezwaniami do odpuszczania win, do miłosierdzia, wybaczenia – ewentualnie pod warunkiem zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Przypomnijmy tylko powojenne relacje polsko-niemieckie i polsko-ukraińskie. Wybaczymy, ale nie zapominamy. Razić może w tych relacjach domyślne założenie, że istnieje w historii tych narodów jakaś symetria – równość krzywd oraz win, choć każdy z nich wyolbrzymia i absolutyzuje doznane przez siebie krzywdy, a pomniejsza winy.

Tutaj również szczyrzy zęby w przewrotnym uśmiechu „demon” relatywizmu: czyż takie wybaczenie nie jest, mimo wszystko usprawiedliwianiem, tolerancją, zgodą na zło? A co z wezwaniami: winni muszą być ukarani – a tu już kłania się ambiwalentność „polityki historycznej”, przemieszczania się racji: czyjeś – moje, swoi – obcy, czyli ideologiczne partykularyzmy i stronniczości.

## 2.

**Odnotujmy kolejny zespół opinii, w których zło akceptuje się ze względów poznaw-**

**czych.** Gogol ujmował to w tezie: „Musisz popełnić zło, aby umieć czynić dobro”. Teza ta nawiązuje do sygnalizowanych już wcześniej wzajemnych odniesień.

Ale akcentuje ona **praktyczne** do nich podejście – należy popełnić jakieś zło – dopiero wówczas uświadomimy sobie wartość i potrzebę czynienia dobra.

Potocznie również często się mówi, że dopiero popełniwszy jakieś zło przyjmujemy doń negatywne nastawienie, niechęć – odczuwamy wyrzut sumienia, skruchę, pragnienie naprawy zła, wyrównania krzywd – doznajemy pozytywnego olśnienia i ekspiacyjnego dążenia do czynienia dobra. Na zasadzie nawrócenia, uzdrawiającego samooczyszczenia, zmiany orientacji moralnej, moralnych rekompensat. Uczyniłem w życiu tyle zła, że teraz mogę – muszę – czynić tylko dobro. Na tej zasadzie działają znane w historii transformacje grzeszników – w dobroczyńców, a nawet świętych.

Jest to oczywiście zbyt poszerzona „wykładnia” tezy Gogola. Sama w sobie wydaje się ona zbyt ryzykowna przez swój uogólniający sens. Może słuszniej zamiast imperatywu: „musisz popełnić zło” byłoby powiedzieć: zdarza się, że popełnienie – popełnianie zła – pozwala zmienić zachowanie człowieka i zwraca go w stronę dobra?

Czy istotnie, aby poznać gorycz np. kłęski, zdrady – zła – nie wystarczy intelekt – czyjeś doświadczenie? Koniecznie należy doznać jej z autopsji? Aby coś **poznać** – trzeba tego **doznać**? Wprawdzie mówi się, że syty nie zrozumie głodnego, że tylko przeżycie kiedyś głodu pozwala wiedzieć, co on oznacza. **Podobnie jest z cierpieniem – można werbalnie współczuć komuś w cierpieniu – ale by je zrozumieć, trzeba go doznać.**

Można tu dalej pytać: Czy trzeba popełnić zło **czynnie**, aby go poznać – czy wystarczy **biernie** doznać zła? Np. krzywdy, zdrady, aby ich samemu nie wyrządzać, nie popełnić, wiedząc jak one bołą?

Inny sens ma pragmatyczny postulat T. Kotarbińskiego: należy poznać – w działaniu praktycznym, w walce konkurencyjnej itp. – możliwe chwytliwy, aby ich unikać, nie stosować ich. Tutaj owo poznawcze podejście do zła ma praktycznie moralne znaczenie. **Jest to owo sokratejskie wiedzieć, na czym polega zło, aby go unikać.** W praktyce jednak

jest raczej tak, że uczy się „chwytów niegodnych” – w polityce, gospodarce, współżyciu – po to właśnie, aby jej skutecznie stosować („Czarny PR”).

Wszakże, z drugiej strony, znów pojawia się przeciwstawna kwestia. Czy istotnie należy być bez winy, nigdy nie popełnić żadnego zła, żeby jakieś zło, lub jego sprawcę potępić? Kto z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci w ladacznicę kamieniem... Czy ktokolwiek jest, może być bezwzględnie moralnie czysty, bez jakiegokolwiek winy? Umiejętność rozróżniania dobra i zła nie jest potrzebna aniołom – w swoim sensie jest potrzebna szatanom.

Bardzo częste są praktyki, a także głosy racjonalizujące zło – które można sprowadzić do twierdzenia, iż często **dobro realizuje się przez zło** – że zło może odgrywać jakąś pozytywną rolę, może być popełniane **w imię dobra**. Mamy tu zatem do czynienia z teleologicznym pojmowaniem zła – z poszukiwaniem jego celowości.

Różne odmiany wallenrodyzmu. Kolaboracja z wrogiem w imię przeżycia – także zdrada. Szpiegostwo. Brutus: „Zabicie tyrana jest rzeczą szlachetną”. Hamlet: „Okrutnym muszę być, aby być dobrym”. Mówił K. Wojtyła, iż zło jest o tyle potrzebne człowiekowi i światu, że stwarza okazję do czynienia dobra. Powiada się też, że diabeł może również odegrać w historii pozytywną rolę (L. Kołakowski). J. Tischer zauważał, iż idea zła właściwego danej epoce mobilizuje wyobraźnię, wyjaśnia nieszczęścia, budzi nadzieję. Zło przyczynia się do harmonii świata, o tyle spełnia pozytywną rolę. Wskazywał Levinas: „Jakiś stopień zła i okrucieństwa jest konieczny do tego, by przeżyć swe życie spokojnie, a na koniec umrzeć we własnym łóżku”. Jest to niezbędne do pełni życia, pełni doznań? A też, bo nic, co ludzkie nie jest mi obce?

Z jednej strony – aspekt przyzwolenia na zło, lub nawet jego czynienie właśnie w imię dobra. To prawda, że bardzo wiele ludzkich cierpień, nieszczęść, krzywdy miało i ma u swych początków jakieś pragnienie dobra, dążenie do dobra.

### 3.

Na puentujące zakończenie: **potrzeba i paradoksy moralnej doskonałości**. Kolejne zło w dobrym. Wielki i wieloboki problem antropologiczno-aksjologiczny, odnoszący się

do natury człowieka, i moralnego dramatyzmu jego życia. Spory o to, na czym polega jego człowieczeństwo – jaki charakter mają mieć stawiane przezeń samemu sobie – w imię określonych racji – wymogi moralne. Elementarnej, powszechnie dostępnej – upraszczając sprawę – przyzwoitości, czy moralnego heroizmu i doskonałości.

Właśnie – problem moralnej doskonałości. Narzucanej sobie lub innym. W czym ma się wyrażać? Czy jest ona możliwa? W skali i w sensie gatunkowym jest to już kwestia, z punktu widzenia np. teologii, zarozumiałstwa człowieka, przypisywania sobie uproszczonych praw, uprawnień i mocy, np. rozumu – równania się z Bogiem i przeciwstawiania się mu. A w sensie jednostkowym?

To też jest kwestia dążenia do moralnego perfekcjonizmu, świętości – lub przypisywania sobie doskonałości, obnoszenia się z nią, wygórowane mniemania o sobie. Odnotujemy skrótowo, że szlachetnie pięknym jest dążenie do perfekcjonizmu, np. zawodowego, także moralnego. Wyższe od przeciętnych standardów aspiracje. Na miarę swego potencjału i sił – „Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi broję” – Zawisza Czarny. Mówił Goethe: „Wysokie wymagania – nawet niespełnione – już same w sobie są bardziej godne szacunku, niż niskie wymagania spełnione bez reszty”. Niż minimalizm życiowy i moralne ubóstwo.

Wszakże – gdzie są owe człowiecze miary doskonałości w ludzkim wymiarze życia, stosunków społecznych i naturalnych ograniczeń: biologicznych i intelektualnych, psychicznych i moralnych człowieka? Stąd biorą się tak liczne obawy, iż pragnienie własnej doskonałości, zachowania zawsze przysłowiowych czystych rąk (a woda i obmywanie rąk symbolizuje niewinność, a raczej unikanie udziału w jakichś decyzjach – Piłat) – może oznaczać np. przyzwolenie na określone zło, bierne przyglądanie się jego istnieniu i jego skutkom. Oczywiście – znów z jednej strony Gandhi, z drugiej w istocie zbrodnicza polityka nieinterwencji. A po środku – prowokacja, podżeganie, jątżenie. I przeciwne do zamiarów skutki przesadnych dążeń do moralnej czystości.

Pisał Fourier w „Królu Olch”: „Człowiek opanowany demonem czystości siebie zniszczenie i śmierć”. Mówił Pascal: „Kto udaje anioła często staje się bydłem”. Popada w zarozumiałe uzurpacje, kabotynizm, faryzeizm i

hipokryzję. W fałszywą świętoszkowatość. Często „lepsze” bywa wrogiem „dobrego”.

W stosunkach międzynarodowych – etnicznych, grupowych – przypisywanie sobie jakiejś doskonałości, wyjątkowych właściwości i wartości – to wrogość i pogarda dla innych – rzekomo gorszych, niższych ras i narodów. To – w historii – europocentryzm. Także faszyzm, nacjonalizm, rasizm. Ludobójstwo, holocaust.

---

Autor jest profesorem filozofii, etykiem, wykładowcą akademickim. Tekst niniejszy jest fragmentem większej całości.

---

Dionizy TANALSKI

# CZŁOWIEK: wobec pracy w epoce postindustrialnej

---

Minęły ponad dwa tysiące lat od czasów ostatecznego ukształtowania się pierwszych ksiąg Starego Testamentu, gdy chrześcijańska reformacja zakwestionowała biblijne przekleństwo ciążyące na pracy i dostrzegła w niej wartości pozytywne.

Gospodarka wymienna umożliwiła wycenianie ekonomicznej wartości człowieka (niewolnika, chłopą pańszczyźnianego, robotnika). Zaś od czasów Odrodzenia i reformacji, a zwłaszcza Oświecenia, rozpowszechnił się pogląd, że najbardziej wartościowy jest człowiek pracujący.

Wizję świecką, pokazującą potęgę ludzkiej pracy i prowadzącą w konsekwencji do dwudziestowiecznego obrazu człowieka-twórcy rozpoczęli rysować autorzy Oświecenia, a największej uwagi problemowi pracy poświęcili, co jest zrozumiałe, ekonomiści inspirowani przez burz-

Dwie uwagi są tu na zakończenie niezbędne do powtórzenia. Pierwsza – że teoria, filozofia czy metafizyka zła jest niezbędna dla jego objaśniania, wiedzy, pobudzania wrażliwości społecznej – choć niekiedy może ją stępiać. Wszakże sama nie wyeliminuje żadnego zła. I druga – że u podłoża wszelkiego zła, społecznego i jednostkowego tkwią w podstawowym znaczeniu istotnie określone struktury i stosunki, organizacja życia zbiorowego.

liwy rozwój gospodarki i przemysłu, co później nazwane zostało rewolucją przemysłową.

**Odkąd pracę uznano za miernik wartości, naturalną kolejną rzeczą miernik ten wszedł też do etyki i w ogóle do refleksji o człowieku jako podmiocie bądź co bądź pracującym. Odtąd człowieka można nie tylko szanować i cenić dlatego, że uznaje się go za wartość najwyższą lub wyższą przynajmniej od „stworzeń niższych”, lecz że ponadto pracuje i tworzy; można także określić jego ekonomiczną wartość, można go odpowiednio wycenić w dowolnej walucie, co z kolei pozwala ustalać „sprawiedliwe” lub „niesprawiedliwe” płace za pracę, różne świadczenia i honoraria.** Ekonomiści i menedżerowie umieją sprawnie posługiwać się takimi wycenami, filozofom zaś i etykom pozostaje głowienie się nad pytaniem, czy takie wyceny

są moralne lub niemoralne i w jakim stopniu takimi są. W każdym razie upowszechniła się, wyrosła na gruncie kapitalizmu i afirmowana przez myśl socjalistyczną zasada, że sprawiedliwe jest żądać „od każdego według jego zdolności – każdemu według jego pracy”. Społeczna moralność socjalizmu ugruntowała się na tak pojętej ekwiwalencji, choć zastrzegła się, że ideałem, do którego dążyć trzeba, jest zasada dalej idąca: „Od każdego według jego zdolności – każdemu według jego potrzeb”. Jest to, jak wiadomo, zasada idei komunistycznej, ale i ona wartościuje ludzi odpowiednio do ich „zdolności”, a więc, tak czy inaczej, do ich indywidualnego wkładu w społeczne dobro.

I tu dotykamy istotnego problemu ogólnego, wykraczającego jednak zdecydowanie daleko poza obszary ekonomii oraz ideologiczne deklaracje i programy. **Niezależnie bowiem od tego, czy znane nam dotąd idee kapitalizmu, socjalizmu i komunizmu zostaną kiedykolwiek w idealny sposób zrealizowane, czy też nie, pytanie o wartość człowieka jest teoretycznie, i moralnie – jak sądzę – autonomiczne wobec stosunków społecznych i programów ideologicznych.** Autonomiczne przynajmniej w takim zakresie, w jakim ludzie są nie tylko istotami społecznymi w znaczeniu socjologicznym czy ekonomicznym, lecz, po prostu, podmiotami o wartości niezależnej od sytuacji społecznej i ich społecznych uwikłań.

**Uważam za trafne teorie, które człowieka pojmują jako wartość autoteliczną, a więc w hierarchii wartości najwyższą, do której zatem nie może się odnosić traktowanie instrumentalne.** Lecz jeśli wolno nam, ludziom, tak wysoko się cenić, po prostu na zasadzie arbitralnie ustalonego przez nas samych miejsca w hierarchii wartości, to czy w ogóle do mierzenia „wartości jednostki odpowiednio do jej wkładu w dorobek ludzkości” niewątpliwie tak, lecz czy użyteczność społeczna wyczerpuje problem wartości człowieka?

Pytanie, wydawałoby się, retoryczne i godne, co najwyżej, akademickich rozważań filozofów, gdyby nie poważny problem, który pojawił się w XX wieku już nie tylko w salonowych czy seminaryjnych intelektualnych dysputach, lecz i w dramatycznej przeważnie rzeczywistości. Oto ekonomiści, socjologowie i filozofowie stwierdzają, że we współczesnej

rozwinętej gospodarce pojawiło się, jako naturalny jej produkt, bezrobocie strukturalne, którego usunąć się nie da, jest bowiem nieuniknionym efektem dotychczasowego i ciągle trwającego w przyspieszonym tempie rozwoju nauki i techniki, a co za tym idzie – niepowstrzymanego wzrostu wydajności pracy. Jeśli ta diagnoza jest trafna, to czeka nas wzrost liczby ludzi „niezatrudnionych” i „niepracujących” (przynajmniej w dotychczasowym sensie tych słów).

Jest to problem historycznie nowy. Dotąd bezrobocie traktowane jest jako dokuczliwa przypadłość społeczna, którą powinno się zwalczać i którą się zwalcza mniej lub bardziej skutecznie z przekonaniem, autentycznym lub udawanym, że owo zwalczanie jest możliwe i nie wyklucza nawet całkowitego zlikwidowania tej społecznej i gospodarczej choroby. Wówczas znów wszyscy (oczywiście tylko ci, którzy mogą, są w „wieku produkcyjnym”, itd.) będą pracować i dzięki temu będą mieli warunki względnie dostatecznego i harmonijnego życia. Będą też mieli, tym samym, znane nam dotąd podstawy do uznawania ich wysokiej wartości i godności. Przypomina to nieco dawne utopie szczęśliwych społeczeństw zorganizowanych w pracujące zespoły, falangi itp. **Lecz teoria bezrobocia strukturalnego zakłóca ten sielankowy obraz: utopii pracy nie będzie! Będą natomiast coraz liczniejsze grupy ludzi zmuszonych do organizowania swojej egzystencji w inny sposób aniżeli na fundamencie pracy (produkcyjnej, zarobkowej...).** Nie będą pracować w dotychczasowym, powszechnym znaczeniu tego słowa. **Co się więc będzie z nimi działo? Jak będą realizować swoje człowieczeństwo?**

Znane nam liczne wielkie teorie człowieka pojmują go wszakże jako istotę, pracującą – i w tej jego funkcji widzą jego gatunkową odrębność i wielkość. A od połowy wieku XX, gdy bezrobocie było już od dawna znanym przekleństwem ludzkości, właśnie do tych teorii przyłączyła się też zdecydowanie myśl katolicka.

Od śmierci Marcina Lutera, ojca chrześcijańskiej reformacji, która pokazała człowieka jako stworzenie realizujące nakazy boskie głównie przez swoją ziemską krzątaninę, przez pracę, upłynęło czterysta lat obfitujących w rewolucje polityczne, burzliwy rozwój

przemysłu i techniki, powstała nowa, nieznana dotąd w takich rozmiarach, klasa ludzi pracy najemnej; powstała i rozwijała się nauka i piękna literatura pracy... gdy w latach trzydziestych XX wieku katolicycy autorzy podjęli wreszcie po nowemu tę problematykę. Pionierami byli niewątpliwie Emmanuel Mounier, który w technice widział przedłużenie ręki człowieka i zwiększenie jego możliwości przetwarzania świata zgodnie z powołaniem nałożonym na człowieka przez Boga, Marie Dominique Chenu, który w roku 1952 publikuje w piśmie Emmanuela Mouniera „Esprit” rozprawę o teologii pracy, jezuita Piotr Teilhard de Chardin, Klemens Brockmoller i Karl Rahner, w Polsce Stefan Wyszyński i Czesław Bartnik.

**Wielką rolę we wprowadzeniu do religijnej doktryny Kościoła rzymskokatolickiego (a przez to do doktryny chrześcijańskiej w ogóle) tematu pracy, a w konsekwencji zmiany teologii i filozofii człowieka i Boga, odegrał Karol Wojtyła – Jan Paweł II.** Oto w roku 1969 publikuje książkę pod wymownym tytułem, nawiązującym do dziewiętnastowiecznych idei czynu, *Osoba i czyn*, w której generalnym punktem wyjścia jest właśnie działający człowiek. Osoba – pisze autor – spełnia się przez czyn, który bynajmniej nie jest bezmyślną i mozolną harówką, lecz twórczością, czyli aktem osoby biorącej świadomy udział w boskim dziele tworzenia świata, co jest świadectwem, że człowiek jest współpartnerem Boga. „Człowiek jest nie tylko sprawcą swego działania, ale jest także jego twórcą. (...) Sprawczość ludzka zdaje się być jakąś twórczością. Jest to ta twórczość, dla której pierwszym tworzywem jest sam człowiek. Człowiek przez działanie kształtuje przede wszystkim siebie samego”<sup>71</sup> (pogląd, że przez czyn człowiek sam siebie realizuje, przypomina żywo dziewiętnastowieczne poglądy Marksa i Engelsa).

Jan Paweł II poglądy swoje kształtował nie tylko pod wpływem swoich nauczycieli, literatury doktrynalnej i świeckiej, przyjaciół personalistów... Do tego wszystkiego mógł dodać własne doświadczenia i spostrzeżenia, bowiem w czasie okupacji niemieckiej pracował ciężko fizycznie w kamieniołomach Zakrzówka pod Krakowem i w kotłowni międzynarodowego concernu chemicznego „Solvay” w Krakowie. Do tych doświadczeń często nawiązywał w

swoich papieskich przemówieniach. „Współczesna (...) problematyka ludzkiej pracy (czy zresztą tylko współczesna?) ostatecznie sprowadza się – nich mi to darują wszyscy specjaliści – nie do techniki i nawet nie do ekonomii, ale do jednej podstawowej kategorii – kategorii godności pracy, czyli godności człowieka (...)”<sup>72</sup>

Doktrynalnym dokumentem Kościoła rzymskokatolickiego o pracy jest encyklika Jana Pawła II *Laborem exercens* z 14 IX 1981 roku. Jest to religijny manifest człowieka pracującego, człowieka-twórcy, omawiający obszernie problematykę pracy w sferach teologicznej, filozoficznej, socjologicznej, ekonomicznej i ekologicznej.

Kłopotliwy zapis w Starym Testamencie o skazaniu Adama i Ewy na ciężką pracę jako karze za grzech pierworodny Jan Paweł II reinterpretuje na rzecz boskiej godności człowieka. „Księga Rodzaju – pisze papież – daje temu wyraz w sposób zaiste przejmujący, przeciwstawiając owo pierwotne błogosławieństwo pracy, zawarte w samej tajemnicy stworzenia i połączone z wyniesieniem człowieka jako obrazu Boga – owemu przekleństwu, jakie przyniósł ze sobą grzech” (p. 27). Ta papieska reinterpretacja Pisma Świętego uwalnia wreszcie teologów katolickich i wszystkich wierzących chrześcijan od zmagania z fundamentalnym doktrynalnym zapisem o grzesznym tle ludzkiej pracy: logicznie, a więc i doktrynalnie pierwotne jest błogosławieństwo pracy, a nie jej przekleństwo! I to jest główna idea papieskiej encykliki XX wieku. Na tej idei zbudowany jest cały tekst dokumentu. Czytamy więc, na przykład, że praca jest dobrem nie tylko „użytecznym” czy „użytkowym”, ale jest „dobrem <godziwym>”, czyli odpowiadającym godności człowieka, „dobrem jego człowieczeństwa”, „[...] przez pracę bowiem człowiek nie tylko przekształca przyrodę, dostosowując ją do swoich potrzeb, ale także urzeczywistnia siebie jako człowiek, a także poniekąd bardziej <staje się człowiekiem>” (p. 9). „[...] człowiek stworzony na obraz Boga, przez swoją pracę uczestniczy w dziele swego Stwórcy – i na miarę swoich ludzkich możliwości poniekąd dalej je rozwija i dopełnia [...]” (p. 25).

**Można więc powiedzieć, że w wieku XX ewoluowanie myśli ludzkiej wywodzącej godność i wartość człowieka z pracy osią-**

gnęło swój zwycięski finał. **Lecz, paradoksalnie, stało się to już na progu epoki, w której dostępność pracy dla wszystkich ludzi zdolnych do niej staje się problematyczna. Nawet więcej: normą staje się społeczny niedostatek pracy.** Próbują przeciwdziałać mu działacze gospodarczy i organizatorzy życia społecznego i przysłowiowe zadanie „walki z bezrobociem” wypisują na pierwszych miejscach swoich społecznych programów. Zastępczo zaś, w oczekiwaniu na zlikwidowanie „choroby” bezrobocia, gromadzą i rozdzielają bezrobotnym różnego rodzaju pomoc (jałmużnę) pieniężną, a w najlepszym razie namiastkę normalnego zatrudnienia. Chwała im za to, bowiem każdy człowiek, bez względu na to, czy jest zatrudniony czy nie, ma prawo do życia.

Lecz główny problem polega nie na charytatywności. **Jeśli bezrobocie: staje się strukturalną częścią współczesnej i przyszłej organizacji społecznego życia, to prócz doraźnej pomocy osobom niepracującym trzeba pomyśleć o takim modelu gospodarki, stosunków społecznych i kultury moralnej, w których egzystencja ludzi niepracujących (w dotychczasowym znaczeniu tego słowa) nie będzie traktowana jako objaw nie tylko gospodarczej, a ogólniej, społecznej choroby, lecz tylko jako naturalny stan częstotliwości ludzi mających te same prawa do środków do życia, przywileje, godność i wartość, co osoby pracujące.**

Skutki zwalczania bezrobocia są, jak dotąd, mizerne. Co więcej, prorocy powiadają, że pracy będzie coraz mniej. Można sądzić, że jeśli wydajność ludzi pracujących będzie rosła nadal, to prorokom trzeba przyznać rację. Duża grupa ludzi (ciągle rosnąca?) pozostanie poza możliwością pracy fundującej tradycyjnie naszą godność i wartość!

Czym więc będziemy się posługiwać w naszej filozoficznej antropologii? Jak będziemy budować teorię godności i wartości człowieka? Wprawdzie niektórzy powiadają, że pracę dotychczas produkcyjną w poważnym stopniu zastąpią inne zajęcia (np. usługi), że więc człowiek przyszłości nie będzie pozbawiony uznawanego powszechnie dotąd fundamentu swojej godności i wartości, lecz – jak na razie – te uspokajające zapewnienia brzmią, według mnie, dość słabo i mało przekonująco.

Dotychczasowa edukacja człowieka opiera się na tradycyjnej koncepcji człowieka pracują-

cego i nie przygotowuje nas do przyszłości, w której problem pracy będzie najprawdopodobniej wyglądał inaczej niż w dotychczasowej wielowiekowej historii. Uczestniczymy w tej tradycyjnej dydaktyce i tylko konserwujemy beztrzęsliwie znane nam dotąd paradygmaty tak, jak gdyby nastąpił już koniec historii i świat już nie miał się zmieniać.

Jeśli zabiegi zmierzające do zmniejszenia bezrobocia są tak mało skuteczne i jeśli, prawdopodobnie, nie uchronią nas od braku zatrudnienia, to trzeba szukać innej teorii godności i wartości człowieka, niezależnej od pracy. Szukanie takiej teorii wymusza współczesna rzeczywistość i przewidywalna przyszłość. Wprawdzie od tysiącleci byli i są ludzie niepracujący i utrzymujący się z pracy rąk cudzych: niewolników, pańszczyźnianych chłopów, robotników i pracowników najemnych – i ten ich społeczny status wpisany był (i jest) w społeczną normalność. Istnieją też od dawna teorie, które wartość i godność człowieka wywodzą z religijnej wiary w nadprzyrodzoną wartość absolutną promieniującą na człowieka; lub z ontologii sytuujących odpowiednio człowieka w bycie jako jego integralną część afirmowaną jako wartość „sama w sobie” (np. filozofie hinduistycznej). Lecz nie wszystkim teorie te odpowiadają. Mało kto dziś ma ochotę i odwagę aprobować nierówność klasową i wysysk ekonomiczny – przeważają słusznie ideologie równości i wolności. Nie wszyscy też uznają argumenty religijne. Hinduistyczne ontologie człowieka nie mają, moim zdaniem, żadnych szans na zadomowienie się w świecie zdominowanym przez mechanizmy rynkowe i kulturę racjonalizmu oświeceniowego pochodzenia.

**Potrzebna jest taka teoria, która w sposób świecki i odpowiadający okolicznościom społeczeństwa postindustrialnego i zrjonalizowanego – wskaże i uzasadni godność i wartość człowieka niezależnie od pracy (lecz nie na modłę próżniaczej arystokracji).** Jeśli bowiem słabnie lub zanika ekonomiczny fundament wartości człowieka i jeśli człowiek przyszłości będzie niekoniecznie człowiekiem „pracującym”, to dotychczasowe teorie człowieka, filozoficzne antropologie i systemy aksjologiczne, wiążące go z pracą, tracą sens i będą wędrować na czcigodne półki historii filozofii. **Może, budując humanistyczny portret człowieka myślącego, trzeba w ogóle**

zrezygnować z kategorii pracy? Może trzeba opracować taką nową teorię człowieka i taką dydaktykę, które potrafią kształtować harmonijnie rozwiniętego człowieka „bezrobotnego”; człowieka, który nie będzie cierpiał z powodu braku pracy, lecz będzie miał równe z pracującymi miejsce w społeczeństwie i będzie zadowolony, szczęśliwy, pełnowartościowy, zasługujący na nasz najwyższy szacunek i godny naszych świadczeń? A wspólcucie mu będzie nie na miejscu?

Urzeczywistnienie takiego programu oznaczałoby zasadniczą zmianę wielowiekowej kultury intelektualnej i moralnej. Czy to jest możliwe? Czy jest potrzebne?

---

Autor jest profesorem filozofii, em. nauczycielem akademickim, członkiem zespołu naszej redakcji.

Czy historyczne wysiłki wszelkiego rodzaju humanistów, filozofów i moralistów, a także reformatorów judeochrześcijańskiej doktryny człowieka, prowadzące od przekleństwa pracy do jej dwudziestowiecznego ubóstwienia, osiągnęły swój szczyt w chwili, gdy rzeczywistość grozi im dymisją?

To byłby kolejny przykład ironii historii.

### Przypisy

<sup>1</sup> K. Wojtyła, *Osoba i czyn*. Polskie Towarzystwo Teologiczne. Kraków 1969, s. 72 i 73.

<sup>2</sup> Jan Paweł II, *Przemówienie u Ojców Cystersów w Mogile, 9.VII.1979*. W tomie: *Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski*. Poznań-Warszawa 1979, Pallotinum, s. 194.

---

Stanisław KUBIAK

Zwiedzam medycynę

# CZŁOWIEK: wobec doświadczenia choroby

*W świecie szalejącego postępu  
kurczy się ludzka zdolność do  
godzenia się z własną skończonością*

Rozchodzą się drogi pomiędzy medycyną, której emanacją są specjaliści, a chorymi, których najlepszym przedstawicielem jest starość. Lekarzom braknie czasu dla chorych, i także dla siebie, za to starość najczęściej choruje, jest na emeryturze i ma czasu w bród. Pierwsi pracują, jak dawni przodownicy pracy górniczej czy przędzalniczej, drudzy częściej zastanawiają się nad sobą i światem. I chcieliby jeszcze porządzić sobą samym, powstrzymując starzenie się: serca, nóg, płuc, tętnic, wątroby, nerek. I nerwów! Ale – jak? Lekarze pędzą, spieszenie badają, aplikują leki i zabiegi, wykonują normy na taśmociągu życia – co 15 minut

następny do naprawy. Tymczasem starość u progów skończoności robi się ciekawska i zaczyna rozpytywać o przyczyny cierpienia, bólu, zwiócenia, umierania, jakby przyszła do szkoły zdrowego życia. I modli się czasem do lekarza, jak rabin z Kocka: *Ja Panie, nie pytam, jaki jest powód mojego cierpienia, ale chcę byś mnie przynajmniej zapewnił, że powód taki istnieje.*

I często filozofuje i zastanawia się – jakie dalsze życie warte byłoby większych starań, skoro jest coraz krótsze? Co wobec tego warte jest ludzkich trosk i zmartwień, skoro wszystko musi być skończone? Ale w tym zastanawianiu

się nie ma z kim dyskutować odpowiedzi. Nie dość bowiem, że lekarzom wyznaczono minutowe limity przyjęć, jeszcze nakazano im skupiać się na ciele doszczętnie pofragmentowanym, wedle specjalizacji. Z nogami do ortopedy, z oczyma do okulisty, z żołądkiem do gastrologa, sercem zajmie się kardiolog, gardłem otolaryngolog, innym podejrzeniami onkolog, przedtem jeszcze radiolog, a może potrzebny jest urolog. Ulotne myśli, zwiewne uczucia i emocje zostały wypchnięte na bocznicę, a ciało rozpisane na prawie 60 specjalności medycznych, głównie somatycznych. A to jest – historycznie biorąc – ledwie początek dziejów ludzkiej parcelacji.

To co ma robić ta starość? Zrazu kłęka przed boskim ołtarzem, ale Pan Bóg jak był tak pozostaje niemy, to idzie modlić się do lekarzy, którzy się ciągle spieszą. Rozpytuje więc o znachorów. I tak sobie kuśtyka i żyje do tej szczęśliwej chwili, w której utrata rozumu z chorobą Alzheimera wybawi ją z doczesności. Niech wtedy inni martwią się – co dalej robić z jej żywymi zwłokami. Ale do tej szczęśliwej chwili jeszcze próbuje ratować swoje istnienie, albo i nie, ponieważ potrafi także, w pełni władz swego umysłu, rezygnować z podtrzymywania trwania. Bo – czy życie, w którym zagonieni lekarze, nie wspominając krewnych, nie mają czasu i zrozumienia dla drugiego człowieka, jest jeszcze światem żywych czy umarłych?

Właśnie kładą ją, jak nie pod elektrokardiografem to pod encefalografem, albo tomo-komputerem, pod jakimś akceleratorem i „rezonatorem” (?) jądrowym. Czegoś takiego jej oczy dotąd nie widziały, ani uszy nie słyszały. Okrążają ją postacie tajemnicze, małowidne, w kitlach, jak dawni szamani biegli w badaniu wschodów i zachodów słońca oraz zaćmień. Odprawiają nad nią jakieś msze czy raczej egzekwia: naczyniowe, onkologiczne, pulmonologiczne, kardiologiczne, radiologiczne, urologiczne, laryngologiczne. A nawet – okazuje się – diabetologiczne! Wprowadzają (albo i wwożą) do sal kaplicznych z monitorami, komputerami, głośnikami, mikrofonami, jako świątkami. Kładą na hydrauliczno-elektronicznych szuflach, każą znieruchomieć, milczeć, milczeć i milczeć. I nie ruszać się! Nie ruszać się! A nie ma tam śladu nieba i ziemi, jest tylko jakiś elektroniczny gwiazdozbiór i medyczny kosmodrom. No to musi szeptać

modlitwę albo dopytywać się – co się z nią takiego wyprawia? – A po co to wszystko? A czym mnie się naświetla? Jakież to mogą być promienie, których nie widać? Czy one tylko przeświecają, czy też przypiekają? A jak poparzą – to co robić? Milczeć czy krzyczeć? Do kogo, na kogo?

Wprowadzają ją do okablowanego „bunkra”, najpierw wpasowują w napromiennik akceleratora, potem zostawiają, wychodzą, żeby schować się za pancernymi wrotami. Zanim siadają w fotelach z podgłówkami, jak w kabinie pilota, patrzą na monitory, i uruchamiają standardowe odliczania. Nie ruszać się, nie gadać, nie rdzewieć, nie myśleć na głos, ale milczeć! Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero! Po piętnastu minutach tej mszy – odliczanie nad następnym. W końcu moja społecznie usposobiona starość zaczyna się zastanawiać: Jak medycyna sama może czuć się w tej bioelektronicznej maszynierii? Ileż lat jej lekarze i pielęgniarki mogą być przyssani do takich taśmociągów, bez szkody dla ich serca i rozumu? I myślę sobie także: czy moja starość powinna się biernie przyglądać ich automatyzowaniu, czy też może próbować ratować ich ciała, serca i umysły przed schłodzeniem i oziębieniem? I dalszą robotyzacją? Czy to wszystko w ogóle ma jeszcze ludzki sens, czy jest postępek czy magią Zulusów w nowoczesnym tylko przebraniu?

Posadzili mnie przed magicznym okiem komputera, pstryknęli i zarejestrowali moją twarz, „dolepili” jej wizerunek do elektronicznej karty identyfikacyjnej, z życiorysem i opisem choroby. Dodali „ingredিয়েncje” personalne, nawet numer PESEL, wszystko żeby się przypadkiem nie pomylić. Potem będą – przed wejściem do akceleratora albo rezonatora – odbywać ze mną coś na kształt odprawy celnej i rewizyjnej albo bankomatowej. I tak dalej. Wszystko ściśle... według procedury zarządzania jakością – biura certyfikacji ISO, które temu centrum ratownictwa akurat wystawił Polski Rejestr Statków (sic!). Nie do wiary, oczy póki co jeszcze mnie nie myślą, na korytarzu wisi dyplom ISO Polskiego Rejestru Statków. A że mam praktykę ryzykownego wspinania się po górach – moje lęki śmiertelne ustępują teraz ciekawości: – co oni jeszcze ze mną zrobią ciekawego w terapii sprawdzonej przez system jakości produkcji i remontu okrętów?



Tak właśnie, chorując, odbywam swoją wyprawę jakby w góry Kaukazu, tak zwiędzam swoje ostatnie lata życia, jakbym szedł ku jeszcze mi nieznannej ziemi. Idę sobie nie jedwabnym, ale akurat...

### ... onkologicznym szlakiem

którym chodzą chorzy przygniecieni metafizycznym lękiem przed zaświatami. W poczekalni jest docześnie czysto i elegancko, czekający siedzą zamilkli i oniemiały, na ścianach szaleją kretyńskie, rozwibrowane grafiki op-art., które symbolizują światło i ruch życia. Przy drzwiach stoi szafa z akwariem, pełnym egzotycznej zieleni, musującej toni, i tęczowych, roztańczonych rybek, które mają w sobie zdolność krążenia po wiecznie tej samej linii trwania. Ich tańce nudzą jednostajną monotonią, ale pewnego razu woda zmętniała, zaczęły tracić wyraziste kontury, aż się rybki zatrzymały. Ktoś zawołał: – Matko Bosko! One się nie ruszają! One giną! Ginę na naszych oczach, a my patrzemy! I nic nie robimy!

Ktoś w półdrzemce oczekiwania odrzekł: – A co by tu można zrobić?

– Jak to co, ratować! Ratować! Przecież umierają!

– Ratować? Ale nam ratować się nie uda? Bo jak?

– Jak to jak? Krzyżeć, jeśli nie można inaczej! Krzyżeć! Manifestować!

No i ktoś zaczął..., inni dołączyli, zaczęliśmy krzyżeć, jeden przez drugiego: Woda zmętniała! Smog w akwariu! Rybki się duszą! Pompy stanęły! – Wołanie bębniło szpitalnym korytarzem, aż zbiegli się specjaliści: fizyki medycznej, elektroniki i promieniotwórczości, technicy od akceleratora, nawet radiolodzy nuklearni przerwali pracę. Patrzyli na znieruchomią akwariu i – jak to specjaliści – nie wiedzieli, co robić. Potrzebny był specjalista od pomp! Wezwali hydraulika, przybiegł w te pędy, otworzył (wytrychem?) zamek do szafy z pompą, zerknął i rozłożył ręce. Na tej marce (pomp) się nie znał. Kluczem (francuskim?) pobełtał mętną wodę, żeby ją napowietrzyć i ożywił rybki na krótko. Ktoś (nie wiadomo kto) wezwał (telefonicznie) administrację, administracja wezwała konserwatora akwariów miejskich, ten siadł do samochodu i pędził przez miasto, ale ulice znowu były zakorkowane pewnie przez innych specjalistów. Hydraulik mieszał wodę, dzięki czemu w poczekalni

chorych z nowotworami wstępowała nadzieja, że rybki odżyją!

Byłem, widziałem to, słyszałem, przechodziłem tu kilkadziesiąt razy po przydział swojej wiązki promieni. Nie nudziłem się, przeżyłem awarię pompy w akwariu i dwie awarie akceleratora. Przypatrywałem się chorym na raka i starości, i wysoce specjalistycznej medycynie – do syta. Wiem ile trudu i męki oraz pieniędzy wymaga podtrzymanie długowieczności takich jak ja. Może nawet pojąłem sens zdania Alana W. Watta: *Ludzie giną i o wiele więcej cierpią niż trzeba, ponieważ za wszelką cenę zajmują się ocaleciem samego siebie. Nie jestem buddystą, ale już godzę się z przemijaniem w nastroju ulgi.* Przy sposobności odkrywałem (eureka!), dlaczego starość, gdy dociera do granic swojej mocy (niemocy), często (coraz częściej) przestaje się sama leczyć. Najpierw rezygnuje z jakiejś tam, pojedynczej wizyty lekarskiej, potem następnej, wreszcie zauważa, że medycyna pozbawiła ją głosu. I honoru, który ona, póki co czasem wyżej ceni niż trwanie w proszalnym upokorzeniu. No i wtedy właśnie, nie pytając o zdanie ani mędrców Kościoła ani sądu sama zaczyna nielegalnie wpisywać rytuał swojego trwania w rytuał świadomej regulacji umierania – ”I było mi dobrze, bo wiedziałem, że umieram”

Organizacja, technika i technologia obsługi chorych jest (w znanych mi przychodniach w roku 2008 i 2009) następująca: Najpierw stoi się w kolejce do rejestracji, potem do gabinetu lekarza, później do jednego z prawie 60 specjalistów. Kolejki do specjalisty Narodowego Funduszy Zdrowia wydłużają się do dwóch, trzech i więcej miesięcy, chyba, że płaci się samemu. Potem zaczynają się niespodzianki. Mój otolaryngolog zwolnił się z pracy w przychodni, bo znalazł zatrudnienie lepiej opłacone. Odczekałem kolejkę do następcy, ten musiał wyjść nagle w sprawie rodzinnej. W następnym terminie zastałem ogłoszenie: gabinet nieczynny z powodu nie dofinansowania. Nic się nie stało, nie chodziło przecież o życie, jeno o słabnący mi słuch, dzięki czemu nie muszą słuchać córki, a oczy ostrzegają mnie przed pędzącymi samochodami. Ale do okulisty czeka się trzy miesiące.

**Medycyna po prostu wypycha starość na pobocza. Chce czy nie, nie może inaczej. W budżetach państwowych, samo-**

**rządowych i domowych brak pieniędzy na podtrzymywanie zbyt długo żyjących. Polityków dręczy z tego powodu rozdwojenie jaźni na chrześcijańską i kapitalistyczną, jak tu bowiem pozbyć się kosztownej starości zachowując niewinność.** Może zrobi to za nich *niewidzialna ręka rynkowej opatrności*? Niech zmusza starych i biednych do płacenia za pomoc, na co ich nie stać, wtedy jednak sami odejdą w zaświaty. Inaczej służba zdrowia rozchoruje się do cna z przeciążenia i wycieńczenia.

Tymczasem długowieczność, jak na złość wciąż występuje o prolongatę trwania i zadasza medycynę. **Liczba chorych zdaje się wzrastać w postępie geometrycznym, a moce medyczne – w arytmetycznym. To, oczywiście, zapowiada zapaść, śmierć medycyny z niedotlenienia, uwiad umysłowy jej reprezentantów, utratę zdolności do zastanawiania się nad sobą? Agape, Satana!**

Toteż jako świadomy swego losu pacjent, jak tylko mogę, próbuję ucłowieczać służbę zdrowia. Wedle stawu grobla, zwracam się do lekarzy i pielęgniarek

### **...ciepłym słowem, z pogodnym humorem**

Z życzliwym uśmiechem, co jednak wypada przeważnie operetkowo. Rejestratorki odradzają żartów, zachęcają raczej do zwołania manifestacji przed biurami Narodowego Funduszu Zdrowia, w obronie finansów przychodni. Mnie z kolei demonstracja starości dotkniętej podagrą wydaje się koszmarną groteską. Toteż ograniczam się do składania wyrazów solidarności i zrozumienia niepopłatności bytu lekarzy i pielęgniarek. Zaprzyjaźniona, dyplomowana pielęgniarka od razu otwiera się i mówi: – A wie Pan, czasem to już nie wiem, czy pracuję, jako człowiek, czy jako automat? Nie wiem – czy jestem z krwi i kości, czy pacynką wypchaną siankiem medycznej wiedzy.

I to mówiąc machinalnie robi mi zastrzyk w tyłek, wskutek czego pytam – dla podtrzymania rozmowności: – A wiele razy na dzień, tak pani musi kłuć?

Prostuje się, staje zaskoczona, odkłada strzykawkę, jakby musiała nabrać tchu: – No wie Pan – powiada – w dupę to, za przeproszeniem, o wiele razy za dużo. Hhmm, nie liczyłam, chociaż ostatnimi laty mniej niż dawniej!

Wszystkich teraz rozpoznaję po dupach. Bo musi pan wiedzieć, że na tym poziomie nie spotkałam jeszcze sobowtóra, ale życie mi od tych widoków nie pięknieje.

Po tej inwokacji odpłaca mi się pytaniem: – Jak pan taki ciekawski, to czemu pan nie zapyta o to samo urologa: – Ile razy na godzinę zagląda do odbytnicy? Ile – na etacie, ile nadliczbowo, prywatnie, za pieniądze? Ginekologów też niech pan pyta, i seksuologów, dentystów? Jaka może być pod tym względem wytrzymałość duszy lekarskiej za tak marne pensje? Radiolodzy, owszem, mają czystsza robotę, elektroniczno-fotograficzną, ale tak samo nudną, jak telewizja. Czy to jest życie, proszę pana, czy automatyzacja zawodów medycznych? Przed studiami mówili, że będę pracować z ludźmi i dla ludzi, ale to się nie sprawdziło, mam robotę fragmentaryczną, mechaniczno-automatyczną i cokolwiek brudną. Tyle tylko, że te najnowsze urządzenia są tak eleganckie, że miło!

Po takich rozmowach zwykle dostaję wyrzutów sumienia, że oni przeze mnie muszą się tak męczyć, a ja tymczasem zwiedzam sobie medycynę, jak szczyty świata i zdaję mnóstwo krajoznawczych pytań. Czasem zaczynam, jak doświadczony wędrowiec: – Ciekawym, panie doktorze, do jakiej tym razem dotarłem choroby? Ale lekarze nie podejmują dialogu. Raczej pomrukują. W filmie *Pora umierać* siedzi za biurkiem lekarka, znużona jak przekarmiony mops i patrzy na starą „turystkę” w progu. Odzywa się do niej urzędowo, bezosobowo, niektórzy tak lubią, powiada: – Niech wejdzie! Niech wejdzie! – A starość stoi i nie wchodzi, tylko stoi harda, jakoś wzburzona. Patrzy butnie, cofa się, zanim trzaśnie drzwiami, krzyczy do jej wielebności także bezosobowo: – A niechże pocałuje mnie w dupę!

Coś podobnego? Niestety, to się zdarza coraz częściej. Spotykają się przecież dwie coraz rozleglejsze choroby społeczne: zagoniona, umęczona, nowoczesna i postępową medycyną z coraz częściej zbuntowaną, staroświecką starością. A ta starość czasem buntuje się, wcale nie prosi, tylko żąda, bo co ma do stracenia. Rewolty nie robi, ale ust nie da sobie zakneblować. Sam też zapisuję się do tego ruchu sprzeciwu, póki mogę – próbuję poprawiać nastroje lekarskie humorem, niekiedy jednak doprawione ironią: – Dzień dobry, Panie doktorze, przepraszam, że jeszcze żyję!

Od razu taksują mnie ze zwiększoną uwagą, jako ciekawszy przypadek somatyczny, a jeżeli psychiatryczny? Moi onkolodzy (trzech odeszło w ciągu jednego roku do innej służby) nie lubią takiego luzu, wołają nastroje przed-prosektoryjne. Chorzy chodzą do nich jak w kondukcje za własną trumną. To jak się do takich uśmiechać. Przed południem badają 4–5-ciu na godzinę i oszczędzają siły do roboty popołudniowej. Wracając do domu wieczorem, mają wszystkiego dość, nie chce się im ani pracować ani żyć, oddadzą się telewizyjnym migotaniom. Ugrzęźli w jakiejś biomaszynerii taśmowej, na nic nie mają czasu, owszem lepiej zarabiają, ale nie mają czasu skontaktować się nawet z samym sobą, co dopiero z drugim człowiekiem. A może by tak emigrować? Dziś człowiek myślący (*homo sapiens*) – czasem przyznają – wygląda im na jakąś historyczną bajdę. Musi się bowiem spieszyć, jakby miał z przodu rozetkę, z tyłu wtyczkę z kablami i został podłączony podczas pracy do sterowni zarządzających – tak wedle Stanisława Lema, który wszakże nie przewidział rozkwitu podłączonych bezprzewodowych.

I tak zbiera we mnie starcza złośliwość i uszczypliwość, która szuka ujścia. Leżę oto pod tak zwanym symulatorem, jakbym był jego łożyskiem. Symulator krąży wokół mnie pojękując mechanicznie. Krążąc oświetla moje podbrzusze, przy którym krzątają się dwie operatorki w białych kitlach i rysują na nim coś na kształt tarczy strzelniczej! Usta mają zasznurowane, ale pracują (tatuują) jak mrówki. Tatuaze, które wykreślają ułatwią potem pracę akceleratorowi, który je zobaczy, by precyzyjnie obstrzeliwać (promieniami) podbrzusze, bo gdzieś w nim zagnieździł się rak. I trzeba jemu teraz dać „popalić”. Dlatego odda do niego 140 salw w 35 dniowych ratach, ale w tym celu zostanie mi zabronione mycie, ponieważ woda i mydło podrażniają spaleniźny skóry. Jezu! – wołam – to mam śmierdzieć jak cap, przez prawie dwa miesiące! – Nie szkodzi – pouczają – niech się (on, ono, ona) dobrze wietrzy...

Z zakneblowanymi ustami czekam tedy na pierwsze naświetlenia i zbieram w sobie chęć jakiegoś odwetu, jako że pozbawiony zostałem prawa do ciekawienia się sobą i tym, co ze mną wyprawiają. Jako że uczyniono mnie częścią logistycznej struktury nowoczesnego techno nuklearnego systemu medycyny.

W tym systemie muszę co rusz podpisywać jakieś deklaracje o zrzeczeniu się prawa do samostanowienia. A tymczasem obrońcy praw człowieka i środowiska, zajmują się obroną niepodległości, praw człowieka, zielonej doliny Rospudy i ginących przy szosach żab? Niebawem powstanie w Polsce generalna dyrekcja ochrony środowiska. A człowieka?

Broniąc się wyglądam raczej na pomyłkę. Bo chciałbym wiedzieć, na przykład: – Czy po napromieniowaniu, nie będę świecić nocami, jak leśne kurki po wybuchu atomowym w Czarnobyli? Ale reprezentanci medycyny nuklearnej nie odpowiadają na pytania, tylko odburkują. Czemu choremu zabrania się więcej wiedzieć? Przecież życie nie musi być nudne, przecież umieranie jest życiem.

Przed prześwietleniem szkieletu (tak zwaną scyntyografią) podpisałem oświadczenie, że znam zakaz zbliżania się do dzieci i kobiet w ciąży (sic!)! Albowiem otrzymałem dawkę jakichś tam jonów złota (?) i promieni, które mogą innym szkodzić? A mnie, to nie? A jeśli szkodzą i mnie, to jak? Czy nie mogę wiedzieć, czym zostałem nafaszerowany? Z jakim skutkiem? Jakie mogą być tego objawy? Jak sam mam się zachowywać w tym brzemiennej stanie? I rozżołościłem ich pytaniem: – Czy ciemną nocą nie otoczy mnie złota aureola, przez co dewotki z Radia Maryja wezmą mnie za świętego?

Medycynę odsuwa od chorych: brak czasu, niedostatek pieniędzy i jej rosnąca wiedza. A jej wiedza, jak brak czasu i pieniędzy, staje się tyrańska, wymusza bowiem od chorych coraz powszechniejszą pokorę i poddanie. A tymczasem ja wciąż widzę chorowanie, jako szkołę przetrwania, wyprawę ku biegunom ziemi albo w głąb puszczy Amazońskiej. W tej drodze chciałbym mieć w medycynie pomocnika, ale tak pomocna rola zdaje się ją pomniejszać. Znam lekarzy, którzy chętnie wyruszają ze mną, ale wyjątkowo, na krótko, bo narcystycznie zakochana w sobie medycyna specjalistów woli celebrować własną nadzwyczajność i boskość. A nie tam jakąś pomocniczość. Toteż jak sowizdrzał

### ...obmyślam psoty.

Leżę pod ramieniem akceleratora, wyglądając jak odmiana nowożytnego mamuta z parku jurajskiego. Stanął w grubych, ceglanych murach starego szpitala, a ja leżę w jego

łożysku, cichy i znieruchomiąły, żeby mnie przypadkiem nie schrupał. W tym położeniu myślę sobie bezwiednie, że w zabytkowych ścianach tego domu żyć jeszcze powinny szczypawice. Wyobrażam sobie, jak wędrują obrzeżem obudowy akceleratora, chociaż wolałbym stonogę. Stonoga wydaje się bardziej fotogeniczna, medialna, jak ...telewizyjny kicz pod tytułem *Tańce z gwiazdami*. Nóżki niosą jej cylindryczne ciało z wdziękiem, w profesjonalnym rytmie roztańczonych, operowych łabędzi! Co zrobią medycy, gdy powiem o tym widzeniu?

Ale oni doszczętnie wytruli wszystkie żyłtka, bo tu musi panować aseptyczny ład, chociaż akcelerator promieniując syczy jak żmija. Leżę w nim, po kolejnej awarii, jak w centrum świata, *gdziekolwiek jesteś, jesteś w centrum świata* a on krążąc klekocze, jakby w obudowie tańczyła zgubiona moneta. Wolałbym stepowanie stonogi, tymczasem obluźowało się coś daleko większego, cięższego i metalicznego. Operator w sterowni słyszy to samo, co ja. Wszystko ma na podglądzie i na podsłuchu, słyszy mój oddech i wszystko, co dzieje się pode mną, nade mną i obok. Słyszac pewnie medytuje – co by ten stuk mógł znaczyć? Przecież akcelerator nie przemawia słowami, starzejąc się zrzedzi, po swoim zrzedzi. Tedy na wszelki wypadek przyciska wyłącznik, wzywa konserwatora, wstaje z fotela, otwiera żelazne wrota do komory naświetlań, wchodzi ponury, za nim biegnie konserwator, który zna nie jedną tajemnicę szpitalnego poliszynela. Ja ślizgiem staczam się z łożyska na obie nogi, zbieram się do wyjścia, konserwator półautomatycznie spowiada się Ponuremu (operatorowi):

– Zawsze, kolego, lepszy wkrętak zgubiony w obudowie maszyny niż tampony w brzuchu chorego.

Ponury wygląda na skamieniałą świętość, konserwator na jej podnieconego ministranta, obaj wydają się mnie choremu półbogami z konstelacji akceleratora. Moi utytułowani naukowo koledzy, najwyżej osadzeni na tym nieboskłoncie, niechętnie słuchają tych relacji.

Krzywią się, irytują, że zawracam im głowę. Gdy już mają mnie dość, wtedy sięgają do sakramentalnej formuły nowożytnej filozofii medycyny. Ona zaś brzmi tak:

– Co wolisz? Nowoczesną medycynę, która ratuje ci życie, czy jej bezradne, serdeczne podanie ręki?

– Jak to ratuje życie? – opowiadam – Czy wybawi życie od śmierci! – I na tym kończą się nasze dialogi. Oni po prostu są w swej postępowości nieprzemakalni, wymienili ludzki sens i potrzebę serdecznego podania ręki na wiarę we wszechmoc nauki i techniki!

I tak to kolekcjonuję – jak badacz, alpinista, antropolog – doznane wrażenie, zdarzenia i myśli, filtruję je przez swoje uszy, oczy i umysł. Potem składam w obrazy, które są tak zastanawiające, że każą pytać: Czy ta nowoczesna medycyna aby wie, że w swym scjentyficznym (naukowym) przebraniu naprawdę powraca do starego świata magii?

Do mojej przychodni wchodzi stara, czysta, starannie ubrana kobieta i podaje rejestrator-kom modlitewnik. Poświadczam niniejszym jej przybycie własnym wiarogodnym podpisem. Niczego tu nie zmyślam. Stara wywołuje zaskoczenie, żeby nie rzec – zdumienie. Dotknięta demencją najpewniej pomyliła adresy? A skądże! Czy jest ważne, do której przychodni i którego dnia? Ważne, że z modlitewnikiem zamiast z książeczkę zdrowia. Jeszcze nie zawarła paktu przyjaźni ze swoją samotnością, jeszcze ożywiają ją nadzieje, które medycyna już nie spełnia. Rejestratorki cierpliwie tłumaczą, że pomyliła adresy, ale ona wie, co robi. Ja – powiada – źle się czuję, ja chcę do lekarza. I znowu wyciąga rękę do rejestraterek i podaje modlitewnik, a one go odpychają, a ona wierzy, że modlitewnikiem przywróci medycynie utracone ciepło. I tylko drażni cierpliwość czekających za nią, zajmuje czas i miejsce młodym, którzy jeszcze nie wykorzystali swojej szansy na długowieczność. A mnie się zdaje, że jestem w dawnym, pokoleniowym buszu *Stu lat samotności* Marqueza, tyle tylko, że oświeconym przez postęp, jakiego świat dotąd nie widział.

---

Autor jest reporterem i publicystą, b. wieloletnim prezesem gdańskiego Forum Zdrowia QUO VADIS – grupy profesorów Akademii Medycznej i Akademii Wychowanie Fizycznego i Sportu. Wykładał na gdańskiej AWF i S socjologię zdrowego życia w gospodarce rynkowej.

# O PROBLEMACH MORALNYCH

Józef KABAJ

## Racjonalny antagonizm

Kilka uwag na marginesie artykułu  
prof. Bohdana Chwedeńczuka\*

1. Trudno nie zgodzić się z tezą sformułowaną w podtytule tego artykułu, że „szkoła jest miejscem spokojnej nauki, nie zaś areną irracjonalnego antagonizmu”. Choćby mi to nawet pobrzmiwać miało – starszemu już belfrowi – jak pobożne życzenie raczej, niż stwierdzenie faktu. Odkąd pamiętam, czyli od późnych lat czterdziestych (chodziłem wówczas do szkoły podstawowej), w szkole ścierały się ze sobą dwie orientacje: irracjonalno-konfesyjna, reprezentowana przez katechetę i posłuszną mu znaczną część ciała pedagogicznego (zwłaszcza nauczycieli polskiego i historii), z racjonalno-scjentystyczną, prezentowaną przez kierownika szkoły i paru nauczycieli opowiadających się za naukowym światopoglądem. Do tej drugiej grupy należeli najczęściej nauczyciele matematyki i przyrody. Tak samo było w połowie lat 50, przy czym głos Prawdy Objawionej brzmiał w szkołach raz ciszej, to znów mocniej (po Październiku 56), potem znowu ciszej (gdy władze państwowe usunęły katechezę ze szkół publicznych), aż po solidarnościowym przewrocie „religia” triumfalnie wróciła do tych jednostek kształcenia, z których została wyprowadzona za Gomułki. Mało tego: decyzją „suwerennych” władz Rzeczypospolitej odzyskała prawa uniwersyteckiej dyscypliny i jest wykładana na wyższych uczelniach. Na razie jako teologia i tylko na odrębnych wydziałach.

Ponieważ jednak nauczyciele i wykładowcy czerpiący wiedzę z innych źródeł, niż Biblia i natchnione tradycje Kościołów, nie wymarli jeszcze ze szczerem, antagonizm – mniej lub bardziej ukrywany – tli się jednak jeszcze po polskich szkołach i uczelniach. Antagonizm co do miarodajności jednej czy drugiej wiedzy. Tak w aspekcie źródeł, jak metodologii. Wspominałem już kiedyś, jak to jeden z rektorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w mowie inauguracyjnej (w połowie lat 70) przestrzegał przyszłych adeptów, by nie ufali nadmiernie wykładowcom, ponieważ „istnieje jeszcze Prawda Wyższa”. Czyli: nauka nauką, a Prawda Prawdą.

Tak więc istnieje stary antagonizm pomiędzy religią (tutaj: doktryną religijną *en bloc*) a filozofią (w rozumieniu poznawczego dorobku greckiego racjonalizmu). Jego wyrazem jest m.in. fakt, że po śmierci Tomasza z Akwinu biskup kanclerz Sorbony i biskup kanclerz uniwersytetu w Oksfordzie ogłaszają w roku 1277 zakaz wykładania poglądów tego Anielskiego Doktora, który przyznawał filozofii znaczną autonomię (M. Gogacz, *Elementarz*

\* Pt. *Ani religia, ani etyka*, w numerze 6 PRZEGLĄDU z 14 lutego 2010.

*metafizyki*). Także spalenie na stosie Giordano Bruno czy represje, jakich doświadczał Galileusz są przykładami tego antagonizmu. Jednak różnica pomiędzy *philosophia saecularis* (filozofią świecką, zwaną w religijnym języku „doczesną”), a *philosophia perennis* (f. religijna, dosłownie: „wieczną”) nie ogranicza się jedynie do założeń ontologicznych (jak np. co jest pierwotną substancją itd.) i epistemologicznych (jakie źródła i metody poznania są właściwe), lecz objawia się także – a niekiedy przede wszystkim – w odmiennych wartościowaniach (aksjologia) oraz w różnym kwalifikowaniu i ocenianiu w porządku moralnym.

**2.** Moja teza, wyniesiona ze studium etyki światowej i polskiej – by wymienić tylko takie imiona i nazwiska jak Sokrates i Platon, Arystoteles i Seneka, Orygenes i Augustyn, Eriugena i Tomasz z Akwinu, Dante Alighieri i Francesco Petrarca, Erazm z Rotterdamu i Tomasz Morus, Immanuel Kant, Jeremy Bentham i John Stuart Mill, Mahatma Gandhi i Albert Schweitzer, Roman Ingarden i Władysław Tatarkiewicz, Maria Ossowska i Tadeusz Kotarbiński, Józef Keller, Karol Wojtyła i Józef Tischner, Peter Singer i Alasdair McIntyre, oraz wielu innych – a także wypływająca z mojego własnego namysłu, brzmi: **etyka jest w pierwszym rzędzie dyscypliną akademicką, czyli nauką we właściwym tego słowa znaczeniu, a nie tylko jedną z moralnych doktryn czy orientacji.** Wiem, że w języku potocznym funkcjonuje inne rozumienie etyki jako pierwszoplanowe, mianowicie tradycyjne, przy którym utożsamia się ją z moralnością (etyka i moralność to dla większości synonimy) lub moralną dobrocią (etyczny to dla tej większości tyle, co moralnie właściwy). Jestem jednak daleki od ulegania presji potocznej praktyki językowej, jakże często bezmyślnej i chaotycznej, niedbałej aż po wulgarność. W każdym razie tutaj, gdzie staram się porządkować pojęcia podstawowe i zasadnicze dla naszego sposobu pojmowania świata i dla naszego poczucia wartości. Dochodzi bowiem w niej już do tego, że powstają zbitki pojęciowe w rodzaju „aspektu moralno-etycznego”, które w moim uchu brzmią jak aspekt psychiczno-psychologiczny, czyli nazbyt ogólnie, jeżeli nie pusto. Czym innym jest przecież psychika, tj. duchowość (inaczej: życie umysłowe) człowieka, a czym innym psychologia, tj. nauka (dyscyplina akademicka), zajmująca się teoretycznie i praktycznie ową duchowością (włącznie z jej upośledzeniami w rodzaju depresji czy schizofrenii). Tymczasem czytam w publikacjach pretendujących do miana naukowych o „rozwoju psychologicznym dziecka”. Wyglądałoby więc na to, że chodzić w nich może o wczesne stadium rozwojowe badacza psychiki. Podobnie czym innym folklor jako wyraz ludowej kultury i folklorystyka jako opis tego rodzaju zjawisk. Festiwalem folklorystycznym zaś, ściśle biorąc, byłoby święto folklorystów (np. piszących o zwyczajach ludowych i konserwatorów sztuki ludowej), a nie święto samych twórców ludowych i ich dzieł (czyli folkloru), jak to w istocie bywa.

Tak samo więc czym innym jest moralność jako rodzaj lub forma świadomości społecznej (z jej zasadami i praktyką stosowania owych norm czy reguł życia zbiorowego), a czym innym jej teoria – czyli opis (lub spis) norm oraz zbiór uogólnień dotyczących założeń systemów moralnych (inaczej: doktryn moralnych) tudzież sprawozdanie z praktyki ich stosowania w życiu społeczeństw. To nauka bowiem jest uprawniona – z racji swojej powagi i roztropności, spójności i konsekwencji, sprawdzalności i efektywności zastosowań praktycznych – do dyktowania porządków myślenia i orzekania o trafności ujęć i rozumienia poszczególnych pojęć. Przykładem: wycofanie z użycia przez naukę pojęcia eteru, miazmatów czy flogistonu. Lecz nadal miewamy do czynienia z przypadkami podszywania się ze strony doktrynerstwa – z jego przed-założeńiami (tj. tezami niepodlegającymi dyskusji) – pod rzetelną wiedzę naukową, wręcz z próbami zastępowania jej przez owe niezmiennie jakoby doktryny, czy też wypierania rzeczowego opisu lub logicznego schematu przez legendy i magiczne formuły.

**3.** Prof. B. Chwedeńczuk ma rację, gdy sprzeciwia się nauczaniu określonej doktryny moralnej pod nazwą etyki. A taki właśnie program zatwierdziło Ministerstwo Edukacji Narodowej pod nazwą etyki: indoktrynacyjnie sformułowaną „podstawę programową dla nauczania etyki”. Ja też dostrzegam pewne zagrożenie dla spójności systemu edukacji w afirmacji stanu rzeczy, że etyka w szkole albo dubluje wychowanie religijne, albo tworzy dla niego jakąś alternatywę, powiedzmy że świecką. Nie wydaje się wszakże rzeczą stosowną podważanie zasadności nauczania fizyki w ogóle, lub wartości poszczególnych jej teorii (choćby to były – założmy – aktualne hipotezy, dające jednakże sprawdzalne efekty poznawcze i znajdujące skuteczne oraz pożyteczne zastosowania praktyczne), dlatego że katecheci nauczają metafizyki z jej koncepcjami znajdującymi szerokie uznanie – takimi jak np. teza o istnieniu „ponadrzeczywistości” (czegoś więcej niż to, o czym mówi nauka). Ani też podważanie celowości uczenia biologii ewolucyjnej, dlatego że ktoś wpaja młodzieży stanowisko kreacjonistyczne – np. w Pasie Biblijnym w Stanach Zjednoczonych, które mają największy odsetek noblistów. Przyjmujemy raczej, że tak jak alchemia została w końcu wyparta przez poważnych chemików, a astrologia jest wypierana dzięki wysiłkowi astronomów z prawdziwego zdarzenia, tak też fizyka czy biologia radzi sobie całkiem dobrze z nienauką (paranauką) konkurencją. Podobnie psychologia zdecydowanie dominuje nad parapsychologią – choć ta druga też jest nader popularna w kręgach wtajemniczonych, czyli „uczonych inaczej”.

Wiedza o kulturze nie załatwia moim zdaniem sprawy obecnego „przyływu” – istnego zalewu – irracjonalizmu, kwestionującego wartość metodologii naukowej czy dorobku myśli oświeceniowej. Nie sposób też obciążać dzisiaj młodzieży podstawami nauk społecznych, czyli elementami psychologii społecznej, socjologii, ekonomii czy antropologii kulturowej pod nazwą „wiedzy o kulturze”. Zasadne natomiast wydaje się podanie jej uniwersalnego narzędzia naukowego, jakim jest systematyka filozoficzna wraz z racjonalną metodologią poznawania świata w jego fizycznym i psychicznym wymiarze (a w szczególności z logiką). Narzędzie to umożliwia bowiem integrację poznania świata materialnego i świata wartości duchowych. Byle tylko nie robiono tego jak dotąd tu i ówdzie się robi. Niby to za wzorem Zachodu, lecz tylko po części. Wprowadza się mianowicie filozofię poniekąd tylnymi drzwiami, bo pod nazwą „wiedzy o nauce”. W zasadzie piękne określenie (jeżeli nie liczyć jego lapidarnego skrótu), lecz uważam, że młodzież tyle z tego przedmiotu odniesie, ile w nim będzie wiedzy aktualnej o nauce współczesnej, w formie nieobrażającej inteligencji ucznia. Czyli pożytek z tego zaleźć będzie od formacji intelektualnej – inaczej mentalności – nauczyciela, będącego albo specjalistą od filozofii naukowej, tj. dziedziny wiedzy spójnej z innymi poważnymi dyscyplinami, albo głosicielem Prawdy nad Prawdami, podpierającej się w celach perswazyjnych tą lub inną paranauką (z różdżkami, telekinezą czy jasnowidzeniem, na które na początku XXI wieku wydaje się – np. nasza policja – państwowe pieniądze). Wszak nadal panuje przeświadczenie – mocno ugruntowane i pieczołowicie kultywowane – iż „są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich nie śniło się filozofom”. Strawa dla ludu, od wieków płacącego słono za to „coś ponad”.

Etyka zaś, jako dział filozoficznej teorii wartości, czyli aksjologii, zawsze była uważana przez najwybitniejsze umysły – niezależnie od strony świata – za dziedzinę kluczową. Tymczasem widać wyraźnie, że i dziś poziom refleksji nad zasadami moralnymi pozostawia wiele do życzenia. Ogół czuje się bezradny wobec rozterek moralnych, nie mówiąc już o moralnych dylematach, z których dobrego wyjścia nie znajdujemy. Dyskusje prowadzone w mediach oraz decyzje zapadające na najwyższych szczeblach władz ustawodawczych i w sądach pokazują żenujące braki rozeznania w tej jakże subtelnej materii. Przykładem spory wokół definicji życia i zdrowia, człowieczeń-

stwa i prawa naturalnego, wartości godności i cierpienia, „uporczywej terapii”, eugeniki czy ksenofobii.

Etyka opisowa, czyli nauka zdefiniowana u nas przez prof. Marię Ossowską, nie podaje moralnych rozstrzygnięć. Pośrednio jednak służy procesowi wychowawczemu – na czym tak bardzo zależało prof. T. Kotarbińskiemu, kładącemu nacisk na powołanie nauczycielskie oraz wynikające z niego poczucie odpowiedzialności za wzorce moralne podsuwane młodzieży. Daje bowiem wiedzę historyczną o tym, jak minione pokolenia porały się z problemami moralnymi. Jakie były na przykład konsekwencje głoszenia porzekadeł w rodzaju *si vis pacem – para bellum* (jeżeli zależy ci na pokoju – szykuj się do wojny), *homo homini lupus* (człowiek człowiekowi wilkiem), czy *vanitas vanitatum et omnia vanitas* (marność nad marnościami i wszystko jest marnością), a jakie nadzieje i rokowania można wiązać z sentencjami typu *si vis amari – ama* (chcesz, by cię kochano – kochaj) *amor vincit omnia* (miłość wszystko zwycięża), czy *homo homini deus* (człowiek dla człowieka bogiem). Jakże różne są przesłania tych powiedzonek i przysłów!

**Etyka daje też orientację systematyczną: pozwala porządkować i klasyfikować elementarne pojęcia dotyczące wartości moralnych, modyfikować je odpowiednio do zmienionych czy zmieniających się okoliczności; adaptować je lub konstruować na ich bazie nowe idee oraz ideały moralne. Dzięki używaniu tego narzędzia czujemy się współtwórcami naszej samoświadomości moralnej.** Uczeń, który w oparciu o posiadaną wiedzę i systematyczne narzędzia sam dochodzi tego, co ważne i właściwe, traktuje te wartości – czy to będzie zdrowie, godność czy wolność – jako własne ideały, a nie jako narzucone lub obce wzorce. Potrafi też, po głębokim namyśle, w miarę kompetentnie dyskutować na ich temat, zarówno w gronie koleżeńskim jak i z rodzicami czy nauczycielami. Wiedza ta okazuje się nad wyraz pożytecznym źródłem społecznie pożądanej sprawności intelektualnej. Piszę to z przekonania opartego również na własnym doświadczeniu nauczyciela filozofii i etyki.

Zgroza natomiast przejmuję na samą myśl, że podstawy programowe pozostałych przedmiotów mogłyby być podobne ukierunkowane, jak obowiązująca podstawa maturalna nauczania etyki w szkołach ponadpodstawowych. A są! Od uczniów wymaga się na przykład „właściwej” interpretacji cierpień Hioba i przypowieści ewangelicznych w ramach realizacji podstawy programowej przedmiotu „język polski”. Na tegorocznym egzaminie gimnazjalnym (sic!) uczniowie zmagali się z analizą obrazu „Sąd Salomona”, za pomocą fragmentu tekstu z Pisma św. zamieszczonego na arkuszu egzaminacyjnym. Nie uczy się ich zaś na tym przedmiocie czytania zrozumiałego dla słuchających (co słyszymy przy okazji rozmaitych transmisji z uroczystości, na których młodzież coś czyta), nie mówiąc już o uczeniu takich „subtelności” gramatycznych jak części mowy i części zdania. Większości moich studentów – a prowadziłem w ostatnich latach ćwiczenia z filozofii z setkami słuchaczy – takie terminy jak imiesłów czy przydawka były zupełnie nieznanne.

I pomyśleć, że większość nauczycieli może realizować takie programy w duchu założonym przez ich natchnionych autorów! Nie odróżniając etyki od moralności, psychologii od psychiki, a może nawet fizyki od przyrody, oraz biologii od świata istot żywych. Ilu naszych nauczycieli fizyki zdaje sobie sprawę z tego, że „filozofia przyrody”, jak nazywano 100 lat temu fizykę (nauczaną wówczas łącznie z biologią i geografją), kształtuje mentalność młodego człowieka i być może pozostanie ona taką, jaką oni uformują, nawet na całe życie?

---

Autor artykułu jest doktorem filozofii, wykładowcą etyki na WSP TWP w Katowicach. Uczy także – od ponad 10 lat – filozofii i etyki w paru liceach ogólnokształcących w Krakowie.



---

---

# ŚWIADECTWO

---

---

Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA

## „Medycyna dawała mi swobodę działania”

---

Przed laty na jakimś pogrzebie z nieżyjącym już dziś profesorem zastanawialiśmy się czy nie warto by było raz w roku pisać własne przemówienie na ewentualną okazję, gdyż słyszane enuncjacje kolegów często mają mało wspólnego z filozofią życia tych, którzy odchodzą. Projektu nie zrealizowaliśmy.

Teraz dobijam do osiemdziesięciolecia. Dane mi było przeżyć niezwykle ciekawe czasy. Sądzę, że może warto by zanotować jakieś uwagi, które oczywiście nie mają znaczenia dla współczesnych, ale może oddadzą nastrój ludzi i hołd tym, którym dane było uczestniczyć w niezwykle interesujących wydarzeniach XX stulecia.

Większość ludzi z mojego i starszego pokolenia już nie żyje, ale z wielkim patriotycznym zapałem odbudowywali kraj. Doprowadzili do rozwoju szkolnictwa, także wyższego. Ponosili trud awansu i to nie tylko analfabeci, ale także profesorowie uniwersyteccy, którzy po wojnie rekrutowali się ze zdziesiątkowanej inteligencji. Rozwój licznych Uczelni po wojnie wymagał wielkiego trudu, samozaparcia, ale i entuzjazmu.

Przykładowo, w okresie międzywojennym było w Polsce 5 wydziałów lekarskich, po wojnie, po migracji połowy narodu i przerwie okupacyjnej powstało ich 10. Podziemne studia okupacyjne organizowano w bardzo ograniczonym zakresie. Wielu przedwojennych profesorów zostało zamordowanych. Zaczynano więc wszystko prawie od nowa.

Wspomnienia z własnej działalności politycznej i zawodowej opublikowałam w 2004 roku. Żeby było zabawniej książkę „Polityka i medycyna” wydali mi znajomi katolicy. Poza redaktorem Jerzym Domańskim z „Przeglądu” tzw. lewicowa prasa przemilczała ją. Nawet się nie zdziwiłam, gdyż wtedy zaczęto wracać do przedwojnia, organizować bale charytatywne. przebierano się za Mikołajów. Kraj zaczął się robić bardziej medialny niż socjalny. Wygląda to czasami dość kuriozalnie. Tak zwana wolna prasa oczernia wszystkich niezależnie od poglądów w sposób niezwykle prymitywny, uważając, że jest to wyraz wolności, a nie głupoty.

W każdych przemianach politycznych liderzy wierzą, że mają receptę na przyszłość. Chociaż procesy te podobnie jak biologiczne często idą mimo nas, a w niniejszym stopniu dzięki nam. Adam Michnik nawet nie przypuszczał, że rozpocznie erę afer podsłuchowych w establishmencie i nie tylko przyczyni się do osłabienia lewicy, ale także odsunie od wpływów całą postępową antykomunistyczną inteligencję polską wywodzącą się podobnie jak on sam

z dawnej lewicy. Dobrze, że Lew Rywin na komisji sejmowej zachowywał się godnie, bo na dokładkę moglibyśmy mieć nową falę antysemityzmu.

To, że żyję najdłużej z całej mojej rodziny, jest osiągnięciem, gdyż poza jedną babcią wszyscy ginęli, albo przez politykę, albo przez powikłania chorobowe w wieku 50–60 lat.

Jest w tym, poza zmianą warunków społecznych, także sukces zawodu, który uprawiam. Medycyna w czasie mego życia zawodowego dokonała ogromnego postępu. Miło mi, że w jakimś zakresie udało mi się przyczynić do jej rozwoju i badać zjawiska, które są społecznie i naukowo obecnie aktualne. Mnie osobiście umożliwiło to kontakty ze światem, a moim uczniom, już w czasie mojej emerytury, dało widoczny splendor w strukturach krajowych i międzynarodowych. Jestem więc człowiekiem spełnionym.

Chcę wspomnieć ludzi, którzy już nie żyją, a wnieśli wielki wkład i poświęcenie dla odbudowy kraju. Jedni byli ideologicznie zaangażowani w ruch lewicowy, inni przedstawiciele tzw. prawicy po prostu z poczucia patriotyzmu. Pamiętam profesorów, którzy wywodzili się z przedwojennej burżuazji czy ziemiaństwa, którzy po tragicznych doświadczeniach wojennych, przystąpili do odbudowy kraju z niezwykłym zapałem. Dziś do „fasonu” należy pokazywanie siebie w postaci ofiar systemu. Bawi mnie jak ludzie z obecnego establishmentu, gierkowskie czasy, w których żyli i działali, traktują jako przykład groźnego totalitaryzmu. Poprzednie pokolenia w Polsce przeżywały nie takie formy totalitaryzmu, ale wtedy nie było „fasonu” na występowanie w roli ofiary. Pamiętam lekarza, który po wojnie siedział z wyrokiem śmierci, a po 1956 działał w ZSP i był znakomitym lekarzem w Stoczni Gdańskiej.

Teraz w gazetach pisze się, że scenariusze filmów oparte są na materiałach z SB. Jakby opracowania tych służb były rzeczywiście niezwykle wiarygodne.

IPN załatwia także współtowarzyszy z dawnej opozycji w sposób zupełnie bezrozumny.

Oczywiście poprzedni system miał wiele błędów. Ale rewolucja socjalna i techniczna, którą dokonało moje i starsze od mego pokolenie jest nie do przekreślenia.

Zaletą mojego wieku jest to, że ma czas na czytanie książek spoza swojej profesji zawodowej, gdyż nie gonią go żadne terminy, a realne myślenie o terminie ostatecznym każdy traktuje jako przykrą oczywistość, którą stara się ostrożnie ukrywać w pamięci.

Ukazuje się obecnie wiele interesujących przekładów, zwłaszcza z literatury zachodniej. Nawet piewcy liberalizmu jak Fukujama i inni cytują Marksa i im to nie przeszkadza. U nas z gorliwością neofitów wszyscy piszą, a nawet uchwalają, że wolność uzyskaliśmy dopiero przed 20 laty. Tak jakby ewolucja poprzedniego systemu nie przyczyniła się do przemian.

Występujący w telewizji posłowie z prawicy, którzy mają się za ludzi uprzednio zniewolonych, często są dziećmi pierwszego pokolenia awansu społecznego dokonanego po wojnie. Widać to po formie wypowiedzi i ich wyglądzie. Tak bywa po każdym przewrocie. Myśmy także po wojnie podobnie niemądrze mówili o okresie międzywojennym.

Z czasem się to zmienia, młode pokolenie dorasta, nie ma już niepewności świeżych zwycięzców i zaczyna na trzeźwo oceniać przemiany.

Dowodem na to jest żywa dyskusja, która rozgorzała po opublikowaniu książki Domosławskiego o Ryszardzie Kapuścińskim. Biografia, w której autor w sposób niezwykle interesujący pisze o czasach, które stworzyły tego utalentowanego pisarza, ale i on je tworzył. Piszący biografię rozmawiał z ludźmi, którzy go znali. Dobrze, że teraz wydał książkę, a nie jak niektórzy radzą po latach, gdyż za chwilę tych rozmówców z powodu wieku po prostu nie będzie.

Artur Domosławski dokumentuje postawę swego bohatera w sposób prawdziwy i oryginalny. Mimo, że jest człowiekiem młodszym wylał się z obecnej mody kwalifikowania każdego dawnego członka PZPR w roli karierowicza czy agenta. Opisuje środowisko tzw. wierzchuszki KC w sposób interesujący. Pokazuje ich różnicowane poglądy.

Z kolei w niezwykle aktywnej dyskusji prasowej dominuje chęć przypisywania Kapuścińskiemu poglądów nie Jego, a występujących w mediach dyskutantów. Zapominają, że sukces jego literatury wypływał z tego, że jak nikt potrafił pokazać żywych ludzi z tzw. trzeciego świata, ich nędzę bunt i rebelie. Rozumiał ich poglądy i przez to był autentyczny. Nie bez znaczenia na jego postawę ideową miało życie na Polesiu przed wojną i własne doświadczenia okupacyjne. Miał niespotykany talent i umiejętność obserwacji mechanizmów władzy. To mu dało zasłużoną sławę nie tylko w kraju, ale i w świecie.

Żywe zainteresowanie i dyskusja nad książką Domośławskiego świadczy o tym, że ludzie młodzi chcą się zbliżyć do prawdy lat powojennych. Dlatego ma takie powodzenie. To dobrze, bo przecież obecni i przyszli młodzi wpłyną na zmianę ocen, a także polityki.

Całe życie zawodowe i polityczne przeżyłam w jednej Uczelni i to z własnego wyboru. Medycyna dawała mi swobodę działania. W przeciwieństwie do zawodowych polityków, czy dziennikarzy miałam większą swobodę wypowiedzi i możliwość odchodzenia i powrotów do czynnej działalności politycznej.

Obserwacja i kontakt z jedną Uczelnią przez przeszło 60 lat wydaje się być interesujący także teraz po zmianie systemu. Tu także coś się zmienia. Przykładowo młodzi ludzie w ostatnich latach chcą się doktoryzować z zakresu historii medycyny. Dokumentują osiągnięcia życia profesorów, którzy już nie żyją, a których wpływ na rozwój medycyny i szkolenie kadry był szczególny.

Profesorowie ci za życia nie przypuszczaliby ile można po strasznych pożogach wojennych znaleźć danych archiwalnych dotyczących ich działalności. Sami przeżyli czasy I i II wojny światowej, tworzyli w okresie międzywojennym, w czasie okupacji i po wyzwoleniu. Okazuje się że wiele danych zachowało się nie tylko w kraju, ale i zagranicą, np. w archiwach w Wilnie zachowane są akta Uniwersytetu Stefana Batorego.

Na obrony doktoratów przychodzą sędziwi dawni uczniowie profesorów, ale i ludzie młodzi, którzy podobnie jak doktoryzujący się nie znali ich osobiście. Sądzę, że kontakt międzypokoleniowy jest niezwykle ważny wychowawczo.

Przykładowo na obronę doktoratu na temat życia i działalności mojego profesora, który sam był ateistą, miał piękną kartę sprzed wojny, okupacji i okresu powojennego, przybyli liczni ludzie, o bardzo zróżnicowanym światopoglądzie i opcjach politycznych. W tym dwie zakonnice w kornetach i dwóch przedstawiciele religii mojżeszowej w myckach na głowie.

Tworzy się coś nowego. Po ostatnim przewrocie promotora tej pracy zwolniono z Uczelni za to, że uprzednio wykładał marksizm dla medyków. Rektor nawet nie zadał sobie trudu, żeby dowiedzieć się, że doktoryzował się on i habilitował z historii okresu międzywojennego. Co teraz jest bardzo na czasie i przysparza mu splendoru. Wrócił, rozwinął zakład historii medycyny. Jednocześnie wybrano go na rektora prywatnej humanistycznej uczelni, która ma wszystkie unijne uprawnienia. Prasa, która zajmuje się rozgrywkami politycznymi na szczytach władzy o takich problemach nie pisze, a może już by należało.

Zjawiska społeczne zaczynają się często na dole, a nie tylko w ośrodkach władzy.

---

**Autorką tekstu jest profesor nauk medycznych, przez ponad pół wieku związana z Gdańską Akademią Medyczną, obecnie na emeryturze. Przez wiele lat uczestniczyła w życiu społecznym i politycznym, zawsze z uwagą wysłuchiwana na spotkaniach z udziałem najwyższych władz państwa.**



---

# ROK CHOPINA

---

Jadwiga SEBESTA

## Chopina portret duszy z melancholią w tle

*Każdej jesieni deszcz jest inny  
I inne liście strąca wiatr  
A tylko smutek pana oczu –  
Panie Chopinie – wciąż ten sam.*

Agata Budzyńska, *Spacer z Chopinem*<sup>1</sup>

---

Spośród niezliczonych chorób duszy melancholia spoczywa majestatycznie na cokole sztuk jako jedna z muz, uwznioślona, otoczona chwałą mitu, a jej cierniowy laur uchodzi za oznakę geniuszu. Stan melancholii to jakby metafizyczny dreszcz przemijalności, odczucie metafizycznej wagi czasu będącego drugim imieniem rzeczy. Czarne słońce melancholii nie wschodzi i nie zachodzi, ale zawsze okolone chmurami rzuca cienie dosięgające najdalszych horyzontów myśli. Nostalgia spełnia się w czuwaniu ponad miarę i siły, w nasłuchiwaniu echa wszechświata, w natężeniu myśli aż po wycieńczenie zamiarem wejścia w istotę bytu, nade wszystko zaś w istotę piękna.

Na tle melancholii anatomia duszy Fryderyka Chopina okazuje się mapą przewodnią doskonałej wiwisekcji najsubtelniejszej siatki nerwów. Sylf fortepianu pozostawał pod dożywotnim urokiem posępnej muzy, tworząc „wymęczone ponurości”, jak mawiał o swych utworach<sup>2</sup>. Trzeba wiedzieć, że mimo prób tragizowania postaci Fryderyka Chopina, jego autentyczny wizerunek miał niewiele wspólnego z romantyczną pozą werteryzmu. Chopin lubił formy klasyczne, w muzyce szukał logiki, kochał Bacha, Haydna i Mozarta, nie nosił

krokodylich łez i egzaltacji. Wolał Hummła od Beethovena, którego namiętność „nazbyt często zbliżała się do kataklizmu”. Grał delikatnie, ledwie głaszcząc klawiaturę, jakby chłodny, lekki wietrzyk czynił to za niego. Jego oryginalne tempo było zda się dużo wolniejsze aniżeli chcą tego współczesne interpretacje. André Gide zauważył to jako pierwszy i nie omieszkał zbesztać wirtuozów zbyt pewnych taktu, z pianą na ustach, zdyszanych wręcz i rozdygotanych, jakby natchnął ich sam szatański Berlioz, gdy tymczasem chopinowski duch wołał o litość, o zwolnienie tempa, trochę wahania, bojaźni i namysłu.

Melancholicy na ogół czują się nie najlepiej w żywiole słowa, zwłaszcza słowa mówionego. Nie inaczej bywało z małomównym Fryderykiem. Nie lubił przemów, korespondencji, z trudem znajdował i dobierał wyrażenia, zwłaszcza gdy znajdował się w szerszym gronie. Nie będzie nadużyciem zdanie, że w głębi serca czuł awersję względem pozowanego modus vivendi elit, względem tzw. śmietanki towarzyskiej, choć był rozchwytywanym beniaminkiem arystokratycznej socjety. Kiedy już zdecydował się odezwać, wygłaszał krótkie, treściwe zdania zdradzające pewien dystans

do przedmiotu, którym zajął myśli. Nierzadko frazy wychodzące z jego pięknie skrojonych ust były obdarzone sporym ładunkiem ironii. Artysta patrzył na świat trzeźwo, ludzi oceniał surowo podług ich obłudy, małostkowości i próżności, ale i samemu sobie nie szczędził sarkastycznej krytyki. Nie znosił wulgaryzmów ani podniesionego tonu. Bolała go głowa, gdy ktoś perorował piskliwym głosem, a damskie, wysokie „c” doprowadzało go niemal do szału. Rzeczywistość pełna hałasów i odorów bywała dla niego, obdarzonego nadzwyczajną sensualnością, nazbyt uciążliwa. Czasem poirytowany słyszał kłótnie w sąsiedniej kamienicy, co rujnowało mu nerwy. Chopin zdecydował się na bytowanie w światach urojonych (*espoeces imaginaires*), w postaci „upiora”, obumarłego cienia i tylko ze względu na siostry zrezygnował z myśli o samobójstwie.<sup>3</sup>

Uważał się za depozytariusza danego przez Boga talentu. Zgodnie z tym przeświadczeniem czynił wszystko, by poprzez sumienną i systematyczną pracę oraz żelazną, wręcz heroiczną konsekwencję uczynić zadość wyrokowi losu. **Za największą cnotę uważał cierpliwość. Starania wokół kompozycji okupione mozolem, trudem i licznymi poprawkami przypominały niekończące się tortury rodzenia...** Pokreślone rękopisy zabazgrane tzw. „muchami” odpowiadały jego wewnętrznej dyspozycji – wątpliwościom, skrupułom i zmaganiom z materią sztuki: „Całymi dniami zamykał się w swoim pokoju, spacerował po nim, płakał, łamał pióra, powtarzał i zmieniał setki razy jeden takt, tyleż razy zapisywał go i wymazywał, a nazajutrz zaczynał wszystko od nowa, z drobiazgowym, beznadziejnym uporem. Przesiadywał sześć tygodni nad jedną stronką, aby w końcu zapisać ją tak, jak to nakreślił w pierwszym rzucie.”<sup>4</sup> George Sand dziwiła się, jak to możliwe, by mimo ataków krwotocznego kaszlu, gorączki, nie jedząc z goła nic, niestrudzenie tworzyć. Dolegliwości śmiertelne i straszne sprawiły, że jej podopieczny osiągał w bólu ostateczność. Wydawał się jednak obojętnieć na własną niedolę, choć bywało, że nieczuły na silne ciosy, z trudem znosił niewielkie niedogodności, kontrując gderliwością, biadoleniem i kaprysamii ataki słabszego wroga. Co prawda Sand opiewała jego anielską cierpliwość, hart ducha, łagodność i dobroć, jednak zdania te zdają się tak dalece posuniętą idealizacją, iż trudno dać

im wiarę. Co do skrajnej hiperestezji chorego pisarka miała niewątpliwie rację. Z kobiecą empatią ujęła fenomen jego geniuszu, kreśląc wierny portret galernika wrażliwości: „[...] Wydaje mi się, że jest to istota zbyt delikatna, zbyt niezwykła i zbyt doskonała, by żyć naszym ciężkim i twardym życiem ziemskim.”<sup>5</sup> W „Dziejach mojego życia” Sand określa psychikę Chopina metaforą odartego ze skóry żyjątką, „któremu rzecz najmniejsza, zgięcie listka róży, cień muszki przelatującej wyciska krew na policzkach.”<sup>6</sup> Ferdynand Hiller, wierny kompan muzyka wspomina kruchość przyjaciela: „Ta biała cera, ta wiotkość postaci budziła uczucie, jakiego doznaje troskliwy zbieracz szkła weneckiego lub saskiej porcelany.”<sup>7</sup>

Obok melancholika Chopina, któremu czarna żółć nieraz dawała się we znaki, jasna żółć choleryczki Sand wydawała się szlachetną formą waleczności. Trudno jednak nie zauważyć, że pisarka lubiła wybielać własne wady, zaś co do swego ulubieńca wyrażała niespójne opinie, raz nazywając go malkontentem i nieznośnym, pozbawionym temperamentu stabeuszem, innym razem wychwalając pod niebiosa jego wielkoduszność i miłość. Użalała się też nad przymusową wstrzemięźliwością seksualną, którą powodowała u niej uderzenia gorąca i krwi do głowy, nocne poty czy drżenie kolan. Marzyła o intensywnej, namiętnej miłości, a tu dostał jej się „biedny anioł” gardzący trywialnością seksu. Chopin najwyraźniej nie należał do mężczyzn o wysokim libido, czemu nie była rada, na swój sposób jednak sublimowała popędy, otaczając chorego macierzyńską czułością i współczuciem. Dyskretna seksualność kompozytora prowokowała rozliczne komentarze: to zarzucano mu homoseksualizm, rzekomo potwierdzony afektem do Tytusa Wojciechowskiego, to znów rozwodono się nad kochliwością Fryderyka, której towarzyszyła niestałość, niezdecydowanie manifestowane wobec coraz to nowych dam. Niewykluczone, że erotyczne zahamowania Chopina i jego powściągliwość w alkowie brały się z jego religijnej gorliwości mającej w sobie gorycz grzechu, lęku przed piekłem i potępieniem. Chopin był bardzo podatny na tego typu sugestię. Widywał na jawie upiory i mary, drżał o los bliskich zmarłych, którym przepowiadał pośmiertne katusze. Dziś powiedzielibyśmy, że cierpiał na swego rodzaju nerwicę eklezjalną naznaczoną obsesjami

seksualnymi oraz skrupułami przeczulonego sumienia. Miłość nigdy nie kojarzyła mu się ze szczęściem spełnienia, przeciwnie: chopinowski Amor miał uwiązane skrzydła, smutne oblicze. Pozę przybierał wstydliwą i chował się w najtajniejsze zakamarki duszy. Nic dziwnego, że czuł dojmującą samotność. Inna sprawa, że on, tak szarmancki, tak niebywale uprzejmy, nie przepadał za ludźmi. Bycie odludkiem pasowało mu bardziej niż to, do czego był przymuszony: towarzystwo, formy, kurtuazja, koncerty, zabawianie dam, praca dydaktyczna podejmowana dla chleba. Choć cenił sobie występy przed publicznością, miał za każdym razem fatalną tremę<sup>8</sup>. Ponadto wydawało mu się, co zda się szczytem braku pewności siebie, że audytorium zachwyci się co najwyżej jego eleganckim strojem, nienagannym kołnierzem i śnieżną bielą rękawiczek. Z paryskiego mieszkania pisał do Juliana Fontany bynajmniej nie w tonie skargi, że oto zamieszkał w trumnie, w celi, z mnóstwem szpargałów, ale i z Bachem... no i z dala od kogokolwiek („z ludźmi nic do czynienia mieć już nie trzeba”<sup>9</sup>).

Umiał żartować ze swojej choroby, zabiegów lekarskich i jaskrawej głupoty bezsilnych medyków. W 1839 roku na Majorce z przekąsem notuje wizytę niekompetentnych lekarzy: „Trzech doktorów z całej wyspy najślawniejszych: jeden wąchał, com pluć, drugi stukał, skądem pluć, trzeci macał i słuchał, jakim pluć. Jeden mówił, że zdechł, drugi – że zdycham, trzeci – że zdechnę.<sup>10</sup>” Nawet najtragiczniejsze refleksje kompozytora kończyły się jakąś kpina z banału, który zbyt mu się narzucał przy każdej niemal okazji. Rodzajem autoterapii był dla niego śmiech rozwiewający grozę śmierci i umierania.

**Serce Fryderyka nie wytrzymało długoletnich zmagania z chorobą płuc. Przez niemal dwa stulecia ludzkość winiła prątki gruźlicy za to przedczesne odejście i niemal całościową mękę Sylfa fortepianu. Tymczasem najnowsze badania, utrudniane jednak po dziś dzień zakazem molekularnej analizy serca, a przeprowadzane na bazie innego rodzaju, indukcyjnej dokumentacji, nie potwierdzają hipotezy gruźlicy płuc i krtani, kierując uwagę na inną jednostkę chorobową, tj. mukowiscydozę, którą zdefiniowano dopiero w latach 30-tych ubiegłego wieku. Genetycznie uwarunkowana mukowiscydoza tłumaczyłaby, zdaniem prof. Wojciecha Ciche-**

go z AM w Poznaniu<sup>11</sup> i zespołu pulmonologów<sup>12</sup>, większość objawów obserwowanych nie tylko u Chopina, ale i u jego młodszej siostry Emilii, która jeszcze w dzieciństwie przegrała walkę z tą nieuleczalną chorobą. Na potwierdzenie przypuszczeń podaje się przesłanki patograficzne: Chopin miał beczkową klatkę piersiową, cierpiał na dolegliwości żołądkowo-jelitowe i płucne, był osłabiony, poczerwiał i opuchnięty na twarzy, borykał się z kaszlem i dusznościami, prawdopodobnie pozostawał bezpłodny z powodu niedrożności nasieniowodów, miał sporą niedowagę (ważył 45 kg przy 177 cm wzrostu), pałeczkowate palce, kłopoty z trzustką (niewydolność), trawieniem tłuszczu, uskarżał się na nawracającą gorączkę, ropnie, zapalenie zatok oraz krtani, uciążliwe katary, nadmiar zalegającego śluzu, próchnicę, napady gorąca i migreny. Chopin miał tak delikatną konstrukcję kostną, że obawiał się urazów i złamań za każdym razem, gdy podróżował dyliżansem. Wydawało się, że przezroczysty i kruchy, nie z ciała, a ze szkła został stworzony. Zwłaszcza przeguby dłoni i kostki cieniutkie, wiotkie przyparwiały go o lęk. Po większym wysiłku fizycznym kompozytor czuł się tak wyczerpany i pozbawiony tchu, że wymagał podtrzymywania, wyręczenia i przecznej asysty. Był zda się przekonany, że nie płuć, a serce sprawi mu śmiertelny zawód i rychło oddeleguje na cmentarz.

Smutek Chopina brał się z odczucia daremności, jakiejś pustki poczynania, które wypełniają chwilowy rozbłysk życia na tle nieskończonych potęgi nieistnienia. Fryderykowi jego własna egzystencja wydawała się niepotrzebna, a on sam zbyt cenny. Nie uważał swych dzieł za usprawiedliwienie ziemskiej niedoli, gdyż rozwijanie talentu stanowiło wewnętrzny przymus, któremu był posłuszny nie na poczet przyszłej chwały, lecz gwoli sprawiedliwości wobec świata. Godne powtórzenia zdanie, o ironii, prorocze, a tak wdzięcznie zanegowane przez Chopina cytuje Willemetz: „«Dziennik Urzędowy» utrzymuje, że jak Mozartem Niemcy, tak Polacy mną się szczycić będą, nonsens bardzo jasny.”<sup>13</sup> Zdarzyło mu się bez pardonu nazwać swą własną osobę trującym grzybem... Świat odczuwał przede wszystkim sercem, choć słowo to nie odpowiadało ówczesnej sentymentalnej konwencji. „Z listów Chopina wynika, że w jego rozmyślaniach o własnym życiu najczęściej pojawiają się takie słowa, jak

sieroctwo, tęsknota, zgryzota, bieda i żal, toteż ton jego życia najlepiej określa łaciński wyraz *oerumno*. Znaczy on tyle co troski, utrapienia, udręczenia i ma tę zaletę, że w jego polu semantycznym mieszczą się wszystkie znaczące słowa, które nas atakują, kiedy czytamy wypowiedzi Chopina o sobie samym.<sup>14</sup>

Dla Chopina jego cielesna słabość, a przecież i przy tym śmiertelna choroba były oznaką stanu zawieszenia pomiędzy bytem a niebytem. Artysta czuł się coraz bliższy śmierci, uznając ją za przystań pogodną i bezpieczną. Brak woli życia nazywał martwą odrętwiałością albo obojętnością. Kilka kroków dzieliło go od osiągnięcia ataraksji, ideału greckich cyników. Z drugiej zaś strony jego serce nawiedzało widmo samotności, czuł się opuszczony, zawieszony w próżni i nieutulony w żalu za miłością. Takie oto dziwne słowa skreślił podczas wojaży, powodowany tęsknotą za rodziną i Konstancją Gładkowską: „Studgard. Dziwna rzecz! To łóżko, do którego idę. Może już niejednemu służyło umierającemu, a mnie to dziś nie robi wstrętu! Może niejednen trup leżał, i długo leżał na nim!- a cóż trup gorszy ode mnie? [...] Trup także nie ma kochanki! – Nie może się rozmawiać z otaczającym i go swoim językiem! – Trup taki błady jak i ja. Trup taki zimny jak ja teraz na wszystko zimnym się czuję. [...] Więc niewiele mi brak do matematycznie ścisłego pobratania się ze śmiercią. [...] Sam, sam. Ach, nie da się moja bieda opisać. Ledwo ją czucie zniesie.”<sup>15</sup> Przybylski konstatuje: „Świat jawił się więc Chopinowi jak makabryczna manufaktura...”<sup>16</sup> Kwintesencją chopinowskiej melancholii jest pewnego rodzaju oddalenie od wartkiego strumienia czasu, dystans wobec wszelkich przejawów witalności, jakby sam uważał się za na wpół umarłego. Można odnieść wrażenie, czytając krótki i fragmentaryczny dziennik mistrza, że Fryderyk zagłuszony otepiałym działaniem opium i belladonny, żył tylko do pewnego stopnia... Co prawda nadmiernie rozwinięty i wysublimowany system nerwowy kompozytora wystawiał go na ekstremum bólu i rozkoszy, niemniej egzystencja w cieniu śmierci lepiej opisuje jego codzienny, dość nędzny stan aniżeli, *joie de vivre...feerie* słonecznych barw inspirujące do uciech. **Fortepian służył mu za instrument ekspresji tych wszystkich odcieni grozy, które mroczniały w jego sercu. Zdawało się, że dzwiczące klawisze jęczały i stękały w imieniu wirtuoza, służąc mu za najczulsze ramię.**

W nawiedzających go chwilach zwątpienia zwierzał się sztambuchowi: „Cóż przyjdzie komu z mojego bytu?” Miał jednak przeświadczenie, że gdzieś, kiedyś zdarzy się cud ponownych narodzin i wtedy, choć już martwy, będzie żył naprawdę i dla innych, póki co jednak życie dawało bilans ujemny i to straszliwie, jak mniemał. Jego słowa „schowajmy się na po śmierci” były wyrazem nie tylko tej oto nadziei, ale również świadectwem wycofania pomimo pozorów światowego życia. „Tere bzdere kuku. Otóż największa prawda na świecie!” – pisał<sup>17</sup> Hegemon-śmierć zawsze wychodzi z tarczą. Chodzi jednak oto, by „schować się na po śmierci”. „Taki jest bowiem sens muzycznego piękna: zdławicę zgrogę egzystencji irracjonalną mądrością melodii i harmonii. Nie zawsze wiadomo jak, chociaż zawsze wiadomo dlaczego.”<sup>18</sup>

### Przypisy

<sup>1</sup> Tekst piosenki na stronie: <http://adonai.pl/poezja/?id=2&action=51&r=1> (22.02.2010)

<sup>2</sup> Zob. A. Zamoyski. *Chopin. Powściągliwy romantyk*. Tłum. D. Chylińska. Kraków 2002 s. 69.

<sup>3</sup> Por. R. Przybylski. *Cień jaskółki. Eseje o myślach Chopina*. Kraków 1995 s. 54.

<sup>4</sup> G. Sand. *Dzieje mojego życia*. Tłum. M. Dramińska-Joczowa. Warszawa 2008 s. 349-350.

<sup>5</sup> Cyt. za: J. Willemetz. *Chopin. Łowca dusz. Szkice do portretu duchowego*. Tłum. K. K. Pruscy. Warszawa 2000 s. 101.

<sup>6</sup> Sand...s. 330.

<sup>7</sup> Zob. A. Czartowski, Z. Jeżewska. *Chopin żywy w swoich listach i w oczach współczesnych*. Warszawa 1959 s. 264.

<sup>8</sup> George Sand: „Nie chce afiszów, nie chce programów, nie chce tłumnej publiczności, nie che, by o tym mówiono. Tyle rzeczy go przeraża, że proponuję mu, by zagrał bez świec i bez audytorium, na niemym fortepianie.” – Cyt. za: Tomaszewski...s. 124.

<sup>9</sup> Willemetz...s. 96.

<sup>10</sup> M. Tomaszewski. *Chopin i George Sand. Miłość nie od pierwszego spojrzenia*. Kraków 2003 s. 90.

<sup>11</sup> Zob. W. Cichy, O. Woźniak. *Tajemnica śmierci Chopina*. „Przekrój” 12 stycznia 2010 s. 52-53.

<sup>12</sup> Zob. L. Majka, J. Goździk, M. Witt. *Cystic fibrosis – a probable case of Frédéric Chopin's suffering and death*. „Journal of Applied Genetics” 44: 2003 nr 1 pp. 77-84.

<sup>13</sup> Willemetz. *Chopin...* s. 112.

<sup>14</sup> Tamże...s. 201.

<sup>15</sup> Cyt za: Willemetz... s. 48-50.

<sup>16</sup> Przybylski...s. 51.

<sup>17</sup> Cyt. za: Przybylski... s. 256.

<sup>18</sup> Przybylski... s. 232.

---

# SPÓR WOKÓŁ „PAPIEŻA MILCZENIA”

---

Michał HOROSZEWICZ

## Pius XII w katolickich perspektywach

---

Papież Pacelli przemawiał często: sam przygotowywał swe wystąpienia, starannie zapoznając się z problemami środowiska, do którego miał przemawiać. A przecież z jego imieniem zespoliło się „milczenie”. Można jednak przypuszczać, że znakomita większość tych, którzy operują owym „milczeniem” – czy to podtrzymując je, czy też namiętnie kwestionując taki zarzut – nie jest świadoma tego, iż pierwszego złączenia Piusa XII z milczeniem dokonano po zaledwie dwóch miesiącach od elekcji: 5 maja 1939 r. w paryskim dwutygodniku „La Vol-tigeur” filozof Emanuel Mounier pod tytułem „Roztrzásając milczenia Piusa XII” rozważał postawę papieża w odniesieniu do dokonanej miesiąc wcześniej agresji Włoch na Albanie oraz do narodu hiszpańskiego wchodzącego w mroki frankizmu<sup>1</sup>.

W latach wojny owo „milczenie” sporadycznie łączono z nazistowskimi prześladowcami (o Polakach bp Radomski: „niewytłumaczalne milczenie Najwyższego Nauczyciela Kościoła”); później zespoliło się ono z nieprotestowaniem Holocaustu. Ten aspekt żydowski okazuje się istotny w dwóch znaczących artykułach, jakie w październiku 2008 r. – na pięćdziesięciolecie zgonu papieża – opublikowano w czołowych u nas czasopismach katolickich<sup>2</sup>.

SAMOTNOŚĆ I „MILCZENIE”. Ks. Adam Boniecki, redaktor naczelny „Tygodnika Po-wszechnego”, z rozmachem kreśli osobowość Piusa XII; nadmienia, że był on pierwszym papięzem, który w młodości zasiadł do szabasowej kolacji z Żydami. Przekonująco przedstawiono istotne wątki pontyfikatu z lat II wojny światowej: stosunek do Polaków (audiencja 30 września 1939 r., tuż później fragment encykliki „Summi pontificatus”), sprawy włoskie, stanowisko wobec prześladowania Żydów.

Przypomniano o niemieckim aresztowaniu Żydów rzymskich, wszakże mylnie zapisano, że zatrzymano 8 tys.: była to ogólna liczba Żydów w Wiecznym Mieście – tyłu zamierzano ująć. Zatrzymano około 1100 osób: dalszej akcji zaniechano w następstwie poczynań papieżstwa: do Auschwitz wywieziono ponad tysiąc – wróciło kilkanaście (ani jedna kobieta).

Przedstawiono rozległą pomoc papiesko-kościelną okazywaną wówczas Żydom w Rzymie. Przytoczę więc, jak to parokrotnie oceniałem: „W okresie od września 1943 r. do czerwca następnego roku czterdziestoczerohektarowa enklawa watykańska – wespół, oczywiście, z częściami eksterytorialnymi budynkami kościelnymi i zakonnymi Rzymu – przygarnęła większą



liczbę uciekinierów żydowskich niż w ciągu całej wojny Kanada na swych niemal dziesięciu milionach kilometrów kwadratowych”.

Ks. Boniecki zauważa, iż w sprawach politycznych papież kierował się zasadą „bezstronności”, która nie oznaczała milczenia w przypadkach naruszenia porządku moralnego. Wolno jednak utrzymywać, że stojące przed Stolicą Apostolską sprawy polityczne miały chyba zawsze aspekt moralny. Stąd też Pius XII dostrzegł sytuacje, w których biskup winien kierować się powściągliwością, zasadą „mniejszego zła” („ad maiora mala vitanda” – list do berlińskiego von Preysinga z 30 kwietnia 1943 r.) – i także takie, w których biskup winien przemówić, mimo możliwych represji wobec jego wiernych: tyle że brzemień odpowiedzialności biskupa Rzymu było nieporównywalnie większe od odpowiedzialności „szeregowego” biskupa. Warto więc wskazać, że w studium o doktrynalnej i dyplomatycznej działalności Stolicy Apostolskiej na rzecz pokoju jezuita Paul Duclos pisał w 1955 r.: papież „jako najwyższy kapłan szuka największego dobra ogółu wiernych... często bywa zmuszany przyłączać się do **teorii mniejszego zła**” (jego podkreślenia).

Jedynie w dwóch zdaniach zaznaczono inne kierunki – głównie z płaszczyzny religijnej – poczynił Pius XII, którego „nauczanie uznaje się za przygotowanie do Soboru Watykańskiego II”.

**FRYBURSKIE DOCIEKANIA.** Esej dra Arkadiusza Stempina, historyka i politologa z uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim, dotyczy przede wszystkim stosunku papieża do Hitlera i III Rzeszy. Napisany sugestywnie, podkreśla pacellańską „atmosferę hieratycznej niedostępności” – papież stawał się nieledwie inkarnacją Boga. Przytoczywszy dwie nader pozytywne opinie dziennika „New York Times” (1941, 1942), autor nie stroni od ocen krytycznych: utrzymuje, że Pius XII „pozostał wierny naturze powściągliwego dyplomaty” – że papieżowi „zabrakło wizji proroka”. Zgoda, wszakże powątpiewam w skuteczność poczynił z podobnej linii – pisałem: „Czy profeta – prekursor, choćby utiarowany, mógłby wówczas liczyć na poparcie kierowanej przezeń społeczności po wygłoszeniu wskazań tak radykalnie zrywających z głęboko zakorzoną «dawnością»?”<sup>3</sup>.

Wolno powątpiewać, by papież Pacelli istotnie rościł „aspiracje do przejścia arbitrażu światowego”: wszak przy dostrzegalnych inklinacjach mistycznych pozostał ziemskim realistą – i to, jak się wydaje, w stopniu szczególnie znaczącym dla lat powojennych. Wskazano, że udział instancji Stolicy Apostolskiej w udzielaniu pomocy „wyjazdowej” czołowym nazistom i kolaborantom w 1943 r. zasługuje na wyjaśnienie. Zapewnienie – tyle, że fakty podobnego wsparcia należy rozpatrywać raczej w kategoriach udzielania miłosierdzia, a w tym, najogólniej biorąc, nie było sympatyzowania z nazizmem.

Esej ten, niestety, pozostaje skażony warsztatowymi uchybieniami – pokrótce przychodzi je zasygnalizować.

**NUNCJUCZOWA MISJA W NIEBYT?** Miast oficjalnie potępiać nazistowskie ludobójstwo papież – zdaniem Stempina – „Uruchomił na rzecz wsparcia Żydów jego zakulisową formę”: mianowicie „z prożydowską misją wysłał 21 czerwca 1943 do Hitlera” nuncjusza w Niemczech. W Berchtesgaden, wedle jego relacji, „kiedy tylko nawiązałem do kwestii żydowskiej, Hitler odwrócił się gwałtownie, podszedł do okna i zaczął bębnić w szybę”, wreszcie złapał szklankę z wodą i cisnął na podłogę – „po tym dyplomatycznym geście uznałem misję za zakończoną”.

Można domniemywać, że to sprawa najwyższej wagi. Okazuje się, że bezpośrednia interwencja Piusa XII na rzecz Żydów to nie tylko znany apel do regenta Horthy’ego z 25 czerwca 1944 r. o zaniechanie deportacji Żydów węgierskich, ale i wcześniejsza o rok interwencja na szczycie nazistowskiego reżimu. W zasadniczym stopniu zmieniałoby to obraz osobowości Piusa XII, pozwalaloby obalić kierowany doń zarzut milczenia jako bezpodstawny.

Pod jednym, oczywiście warunkiem: że komentarz Stempina i relacja Orsenigo są absolutnie wiarygodne. Udowodnienie nieistnienia faktu autorytatywnie obwieszczanego jest chyba rzadko możliwe, co najwyżej pośrednio: poprzez wskazywanie na jego nieistnienie w publikacjach, które powinny go stwierdzać, wyjaśniać, komentować...

Otóż wizyta nuncjusza u Hitlera powinna znaleźć się w dokumentacji watykańskiej dwukrotnie: poprzez depezę sekretarza stanu kard. Maglionego zlecającą nuncjuszowi podjęcie starań o audiencję (chyba tego nie osiągnęło się „od ręki”) i wskazującą wątki do poruszenia – a później poprzez skierowany do Maglionego raport nuncjusza o przebiegu audiencji i jej rezultatach. Rzecz zadziwiająca: nie ma nic choćby zbliżonego dla okresu kwiecień-lipiec 1943 r. w dwóch tomach „Actes et documents du Saint Siege relatifs á la seconde guerre mondiale” (Citta del Vaticano 1965–81, dalej ADSS, tomów 11), a mianowicie: t. 7 „Stolica Apostolska i wojna światowa, listopad 1942 – grudzień 1943” oraz t. 9 „Stolica Apostolska i ofiary wojny, styczeń – grudzień 1943”.

Nie inaczej w innych publikacjach: Saul Fiedländer „Pie XII et le III-e Reich, documents” (Paryż 1964 – wykorzystanie dyplomatycznych archiwów III Rzeszy, w których audiencja musiałaby znaleźć odbicie); jezuita Peter Gumpel, delator procesu beatyfikacji Piusa XII „Jaki naprawdę był Pius XII” oraz „Oddać sprawiedliwość Piusowi XII – w związku z artykułem Pana Horoszewicza” („Przegląd Powszechny” IX 1999, s. 187–192 i X 2000, s. 81–94); historyk Robert S. Wistrich „Pius XII and the Shoah” (rocznik „Antisemitism International” 2004, s. 10–22); kard. Montini w korespondencji dla londyńskiego „The Tablet” (ale wydrukowanej, gdy autor był papieżem); wreszcie ks. Boniecki w artykule wyżej omówionym.

Przytoczoną relację nuncjusza zaopatrzone w przypis 16: „Oświadczenie Orsenigo w: P. Blatt, «Organ der Diözese Berlin» z 7.04.1963”. Czy ów „P. Blatt” był autorem tekstu w piśmie diecezjalnym? – czy jest on tożsamy z P. Błatem wymienionym w przypisie 4, gdzie w rzeczywistości chodzi o jezuitę Pierre’a Bleta (jedno „t”!), należącego do zespołu opracowującego ADSS? – a może „P. Blatt” to zniekształcony początek tytułu owego pisma diecezjalnego „Amtsblatt”...

Ponadto data przypisana owemu organowi diecezjalnemu jest znamienna: półtora miesiąca po światowej prapremierze rozgłoszonej sztuki Hochhutha „Namiestnik” zarzucającej Piusowi XII zbytne milczenie wobec Holokaustu: Orsenigo był jedną z trzech głównych postaci sceny pierwszej sytuowanej w pokoju recepcyjnym nuncjatury. Ogłoszenie oświadczenia Orsenigo akurat po prapremierze berlińskiej „Namiestnika” mogło być spowodowane impulsem anty-Hochhuthowym, chęcią przywrócenia „dobrego imienia” dawnemu nuncjuszowi (zmarłemu na początku lat pięćdziesiątych XX w.). Kiedy do oświadczenia spisano? – czy było ono wcześniej ogłaszane? – kto je przechowywał? – dlaczego nie trafiło do archiwów watykańskich? Te czy podobne kwestie winien uwzględnić, moim zdaniem, autor artykułu przed jego publikowaniem.

Po zestawieniu powyższego, w berchtesgadeńskiej misji nuncjusza wolno chyba uzasadnienie doszukiwać się przekazu zmistyfikowanego.

DYWAGACJE WE MGLE. Stempin uznaje, że wiarygodność ADSS podważył „Geruard Gieger, podczas wojny tajny informator Watykanu w Szwajcarii, który wykazał, że brak w niej między innymi memorandum papieskiego nuncjusza w Bernie z 18 marca 1942 r. o sytuacji Żydów w katolickich krajach Europy”. Po co Watykan miałby utrzymywać w Szwajcarii tajnego informatora, skoro miał tam sprawnie działającą nuncjaturę? Memorandum nie było dziełem nuncjusza; sporządzili je – na jego sugestię – przedstawiciele Światowego Kongresu Żydowskiego, Żydowskiej Agencji na Palestynę oraz Szwajcarskiej Wspólnoty Żydowskiej. Po bezpośredniej rozmowie Richard Lichtheim (z Kongresu) i Gerard M. Riegner (z Agencji) przekazali nuncjuszowi, który już następnego dnia przesłał je Maglionemu. Memorandum nie miało żadnych „uprawnień” do wejścia w zbiór ADSS – tyle że znajduje się tam list przewodni nuncjusza Bernardiniego do Maglionego (t. 8, s. 466). Dokument, złożony też w jerozolimskim

Archiwum Syjonistycznym, został ogłoszony – jeszcze przed rozpoczęciem ADSS – w wymienionym powyżej tomie Friedländera z 1964 r. (s. 104-109), a następnie w niemieckim jego przekładzie („Pius XII. Und das Dritte Reich, eine Dokumentation” Reinbek 1965, s. 79-82), tyle że Friedländer zaznaczył: dokument został „bez wątpienia przekazany przez Bernardiniego do Watykanu”. Ów „Geruard Gieger” to niewątpliwie zniekształcony Gerard Riegner, współautor memorandum.

„W dzień po wysłaniu telegramów do monarchów najechanych przez Hitlera krajów Beneluksu, zanotował [domyślne: papież, bowiem wszystko wyżej, łącznie z telegramami, odnosi się do niego – uw. MH] treść rozmowy przeprowadzonej z byłym włoskim konsulem w Warszawie”. Otóż odniesienie do ADSS jest sfalsyfikowane; papież nigdy sam nie sporządzał notatek z przeprowadzonych rozmów; niepojęte jest uzyskanie papieskiej audiencji przez szeregowego funkcjonariusza konsularnego Włoch w dniu, gdy ważyły się kluczowe sprawy zachowania neutralności przez Włochy, co przemożnie absorbowało papieństwo.

Skrótowo: żaden „pamflet” Hochhutha, lecz wymieniona sztuka „Namiestnik”, wśród wielkich emocji wystawiana na dziesiątkach scen Europy i Ameryki; w 1917 r. Pacelli został nuncjuszem w Bawarii, a nie w Niemczech (tam dopiero w 1920 r.; po zatrzymaniu Żydów rzymskich ambasadorowi III Rzeszy przy Stolicy Apostolskiej Maglione złożył ustny protest, nie zaś „notę protestacyjną”; w latach tuż-powojennych Montini był prałatem, a nie kardynałem (biskup od 1954 r., purpurat od grudnia 1958 r. z pierwszej nominacji Jana XXIII); bawarska zakonnica Pasqualina była administratorką „Domu Papieskiego”, nie zaś sekretarką papieża, choć czasem mogła spełniać taką funkcję.

Na tym poprzestaję, choć to nie wszystko.

DRUGA POŁOWA TIARY. Przedłożone tu artykuły dopełniają się wzajemnie: ujmują Piusa XII w jego papieskiej złożoności – bez heroizacji i oczywiście bez demonizacji. Wspólnym ich niedostatkim jest skupienie uwagi na latach wojennych, przez co nie dochodzą „do głosu” osiągnięcia pontyfikatu w czasie późniejszym.

A przecież nauczanie Piusa XII stanowi znaczące ogniwo pontyfikalnej doktryny pokoju (przed nim: Leon XIII i Benedykt XV). Warto skrótkowo zaznaczyć inne wyznaczniki pontyfikatu w jego latach powojennych: neutralność i ponadnarodowość, problematyka wojny atomowej („czarny dywan śmierci”), medycyna (cierpień chorych, wskazanie sensu transplantologii), penalizacja (sprzeciw wobec kary śmierci), otwarcie afro-azjatyckie (pierwsza trzydziestka biskupów rdzennie afrykańskich), rozpoczęcie dyplomacji na erę Pacyfiku, załączki polityki euro-wschodniej, kulturowe odzachodnianie Kościoła (fundamentalne znaczenie dla Kościołów Trzeciego Świta), próby modernizacji Kolegium Kardynalskiego i Kurii Rzymskiej.

To wszystko, szerzej ongiś rozważane<sup>4</sup>, pozwoliło uznać, że tak często pomijane lata 1945-58 to nie tylko czasy „ostatniego z Piusów”, ale zarazem właściwa część pontyfikatu już wyraźnie przedosoborowego.

## Przypisy

<sup>1</sup> Pierwsze u na przedłożenie tego Mounierowskiego „prekursorstwa” to około 1964 r. w tygodniku „Argumenty”; możliwie szczegółowa prezentacja w artykule „Franco a papieskie milczenie” – kwartalnik „Myśl Socjaldemokratyczna” 1998, nr 1 s. 131-4.

<sup>2</sup> Ks. Adam Boniecki: „Samotność papieża” – „Tygodnik Powszechny” 12 i 19 października 2008 r., zawsze s. 20-21. Arkadiusz Stempin: „Papież na usługach Hitlera?” – miesięcznik „Znak”, październik 2008 r., s. 137-144.

<sup>3</sup> „Trwa proces «Namiestnika»...” – dwumiesięcznik „Forum Klubowe” sierpień-październik 2006 r., s. 140-9.

<sup>4</sup> „W stulecie pontyfikalnej doktryny pokoju (2) O sprawiedliwość nie poprzez siłę broni...” – miesięcznik „Człowiek i Światopogląd” styczeń 1986 r., s. 44-73; „Pacellańskie paradoksy” – tenże miesięcznik: „Papieństwo w symbolu milczenia” październik 1982 r., s. 72-99, „Kościelne «znaki pokoju» powojennego” listopad 1983 r., s. 65-88.

---

# FORUM

## FILOZOFICZNO-LITERACKIE

---

Maria SZYSZKOWSKA

*Z perspektywy filozofa*

### **Pokój i demokracja**

---

Nie chcąc, z powodu egoizmu grupowego, rozwiązywać problemy dręczące społeczeństwo – „karmi się” je wzbudzeniem ostrej niechęci do wrogów wewnętrznych i zewnętrznych.

Katastrofa prezydenckiego samolotu miała nas – w relacjach dziennikarzy – zespolić, podobnie jak wcześniej śmierć polskiego papieża. Z tym oczekiwaniem pozostają w sprzeczności pojawiające się od samego początku stwierdzenia w rodzaju „drugi Katyń” na określenie katastrofy. Tego rodzaju wypowiedź padła ze strony dwóch byłych prezydentów. Jest ponadto znamienne, że w Warszawie zawieszono wiele billboardów przypominających o Katyniu oraz postanowiono utworzyć na Wawelu „kryptę katyńską”. Kościół, który ma jako zadanie nieść miłość bliźniego, wspomaga tych, którzy głoszą nienawiść do Rosji. Jednocześnie ci sami politycy są rzecznikami naszej obecności w Unii Europejskiej, czyli w procesie globalizacji świata. A łączenie się narodów jest nie do pogodzenia ze wzmaganiem wrogości do tych państw, które zarówno są członkami Unii, jak i do Unii nie należą.

Sensacje stały się pożywką dla naszego społeczeństwa, które w znacznej swej części cierpi niedostatek, a nawet utajony głód, który przyczynia się do chorób. Niedożywienie jest niebezpieczne w skutkach, a ponadto faktycznie płatne leczenie jest niedostępne dla rzeszy Polaków. Wielu z nas traci krytyczną moc własnego rozumu i poddaje się propagandzie mediów.

Gdyby energię psychofizyczną zużywaną na rozpamiętywanie ran z przeszłości zużywać na kształtowanie przyszłości, to sytuacja w Polsce uległaby poprawie. Wymaga to znacznie większego wysiłku, ale przynoszącego poczucie sensu życia.

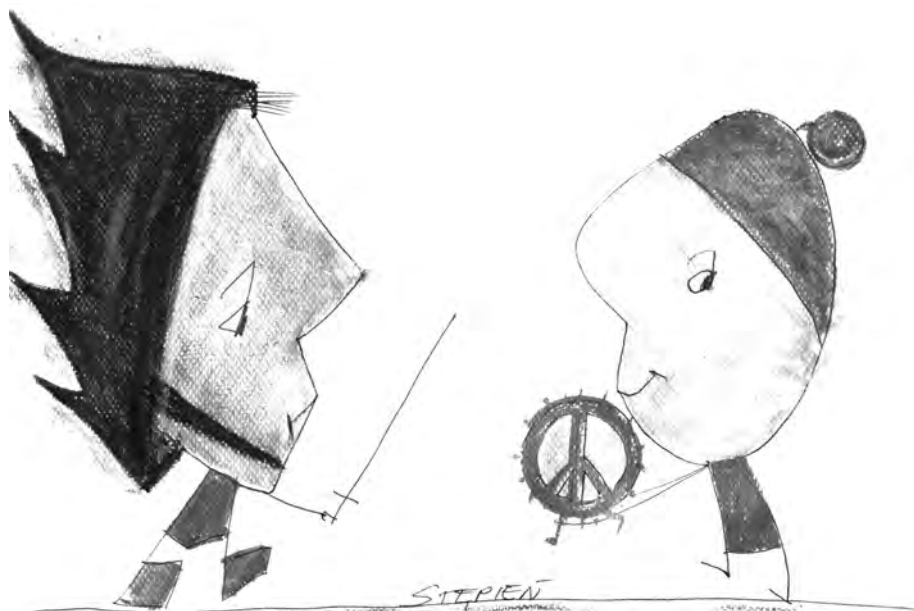
Na przykład powinno się, moim zdaniem, wydatki na zbrojenia przeznaczyć na poprawę bytu osób biednych. Właśnie ukazała się pod moją redakcją kilka tygodni temu książka „Pokój i demokracja”. Kilkudziesięciu współautorów tej liczącej 300 stron książki nakłania do wysiłku zaprowadzania pokoju jako jedyne sensownego drogowskazu dla ludzkości. Łatwiej jest wprowadzać nie zawsze dobrowolnie demokrację i godzić ją z prowadzeniem wojen niż zdobyć się na wysiłek wprowadzenia demokracji i takiego kształtowania świadomości obywateli, by przeciwni byli wojnom. Niszczą one wszak nie tylko życie człowieka, ale także dzieła kulturowe, które ludzkość stwarza. Cenne jest w tej książce udokumentowanie działań na rzecz pokoju prowadzonych przez profesora Mariana Dobrosielskiego.

Interesujące, że w omawianej książce zabierają głos przedstawiciele chrześcijańskich oraz niechrześcijańskich wyznań religijnych. Ukazana została na przykład religia muzułmańska jako wyznanie ceniące w wyjątkowy sposób wartość pokoju; terroryzm to podobne wynaturzenie tej religii, jak na przykład wojny krzyżowe, by nie wymieniać innych przykładów wynaturzenia chrześcijaństwa, łącznie z gorącą aprobatą dla neoliberalizmu; pierwotne wspólnoty chrześcijan stanowiły przejaw życia wspólnotowego bliższy niespełnionemu do dziś komunizmowi. W tej książce z rysunkami Jana Stępnia, zawarta jest także krytyka zniewolenia lekarzy i pacjentów przez obowiązujące przepisy prawne. Jeden z autorów, który jest lekarzem, krytykuje nieliczenie się ze zdaniem pacjentów na temat przygotowywanych zmian w przepisach prawnych. Skuteczny lobbing pozostaje jedynie w rękach tych, którzy są bogaci i mogą opłacać rzeczników swoich interesów. Bardzo cenna jest także krytyka negatywnego podejścia do medycyny niekonwencjonalnej.

Jak wynika z poglądów współautorów tej książki – tolerancja w Polsce jest jedynie postulatem a nie faktem spełnionym. Społeczeństwo jest traktowane jako rzesza konsumentów, a więc ludzi wartościowych z punktu widzenia kupowania towarów.

Profesor Lucjan Turowski przypomina zasady wychowawcze głoszone przez Ignacego Solarza, twórcy ruchu Uniwersytetów Ludowych w Polsce. Jak pisze, Uniwersytety Ludowe kształtowały wyraziste indywidualności oraz postawy obywatelskie. Demokracja, której nie towarzyszą odpowiednio przemyślane systemy wychowawcze i edukacyjne staje się demokracją jedynie w sferze werbalnej.

Całość książki kończy rozdział Jerzego Jakiewicza o honorze żołnierskim. Honor jest wryty na wielu naszych pomnikach i nagrobkach. Niestety, w naszym życiu politycznym jest go coraz mniej, a mógłby stanowić skuteczną zaporę dla niegodziwości.



Rys. Jan Stępień

# Zachmurzenie duże, coraz większe...

Chmury były tak gęste, że nie przepuszczały nawet deszczu. Gdyby było inaczej, mgła nie dotarłaby do ziemi i ptaki wędrowne znalazłyby drogę do swoich gniazd, nie rozbijając się o drzewa.

Przyjaciół wkraczał do domu Profesora w przekonaniu, że coś niepokojąco dziwnego dzieje się ze światem, nad którym nie widać nieba, nie mówiąc już o słońcu i gwiazdach. Podzielił się swoim, lękiem z Profesorem, który szczerze się zmartwił tak przemożnym wrażeniem i nie zgodził się na owo, jak nazwał, zanikanie świata. Podobnie jak z jego powstawaniem, skomentował, rzecz musi objawić się w absolutnej równowadze między materią ziemi i nieba. Jak u Kanta, podkreślił: niebo gwiazdziste tam, prawo moralne tu; opozycja imperatywu ma być kategoryczna.

- Ty mówisz o filozofii, ja mówię o faktach - zauważył Przyjaciół z wyraźną dezaprobata. - O takich jak mgła nad Smoleńskiem i chmura pyłowa nad Europą.

- Ani mgła nie jest kategorią całkowicie nieprzenikną, ani chmura nad Europą nie obwinia islandzkiego wulkanu - odrzekł Profesor, ustawiając na stole wazon z kwiatami zebranych przed chwilą w ogródku. - Wiosna nie zawsze jest pogodna.

- To co zawiniło w niebie? - upierał się Przyjaciół przy swoich niepokojach.

- Nie co, tylko kto, nie w niebie, tylko na ziemi - wnosił swoją akademicką poprawkę Profesor. - Człowiekowi się wydaje, że przy wiedzy, jaką posiadał w nauce i technice, jest już z przyrodą za pan brat. A ona mu figle płata jak dziecku i potrafi zakpić z jego pychy władcy świata. Także z jego meteorologii.

- Bardzo się spieszyłem tym, co się stało - wyznał Przyjaciół jakby w pokorze. A podnosząc głowę, dodał: - I tym, co się dzieje. Bardzo pociemniało wokół, nie sądzisz?

Profesor wyrzwał przez okno, za którym zieleniła się wiosenna murawa.

- Czy masz na myśli to, że nagle zabrakło wśród nas tylu dzielnych ludzi? zapytał ostrożnie.

Nie, usłyszał Przyjaciół, jemu chodzi o tych, którzy pozostali po bitwie przy życiu. Ta bitwa - między Bogiem a prawdą - jeszcze się nie skończyła.

To straszna bitwa między Polakami, ona jest wieczna. Nawet między tymi, których nie ma, choć oni są tylko bitwy przyczyną i ofiarą.

Przyjaciół z trudem, niemal spazmatycznie formułował swoje oskarżenie wobec obnażonego świata ludzkich instynktów i mitów. I wobec tych, którzy na tym sakralnym polu bitewnym, dewastującym wszelką logikę moralności, stanęli do walki o łup.

Profesor z dotkliwym dreszczem zgrozy pomyślał o sobie: gdy oczyma duszy ujrzał, jak pod wpływem konfliktu sprzecznych sił rozlatują się na strzępy ich ciała, jego ciało...

Powiedział:

- Fałszywa przesłanka zmienia sens prawdy. Zbiorowy lęk jest modlitwą o pokój. Nie powstaje tu jednak żadne prawo moralne, skoro nie było gwiazdzistego nieba.

Usłyszał:

- Prawo przycupnęło pod całunem uroczystego rytu. Tego, co w tej łomotaninie polsko-polskiej ogrywa wszelkie mądrości historyczne na rzecz świętej martyrologii.

Powiedział:

- Uzurpacja polityczna patriotycznej ofiarności jest nieunikniona. Śmierć choć jest najbardziej demokratycznym prawem, bywa w istocie swej niesprawiedliwa. Dzieli ludzi na tych, którzy są i tych, których nie ma. Ale nie ten podział jest najbardziej niemiłosierny, lecz ten wśród żywych.

Przyjaciół pokręcił głową jakby przeciwko sobie.

- Czemuż to Kościół nie osłoni ich swoim miłosierdziem. Tyle obiecuje...

Profesor z pewnym skrępowaniem powstrzymał się przed rozwijaniem tego tematu. Skwitował tymczasem rzecz krótko:

- Nie każda łaza jest pozbawiona zła. To miłosierdzie jest matką wawelskiej afery.

Przyjaciół rozłożył ręce i obejrzał się wokół, jakby w poszukiwaniu czegoś, co byłoby godniejsze zaufania niż jego myśli. Profesor spodziewał się, że usłyszy tradycyjne „*in vino lux*”, ale usłyszał:

- Czy teraz już nawet po burzy powietrze się nie oczyszcza?

---

### Lamberto Pignotti z „Minibajek”

#### *Pewna miłosna historia*

*Była kiedyś pewna miłosna historia, w której z trudem mówiło się, wypowiadało słowa o miłości, jakby w obawie, że miałyby obiecać zbyt wiele, jakby miłość rzeczywiście musiałaby trwać zawsze, także w dzień powszedni, w doli i niedoli, zupełnie jak w bajce, która kończy się zwykle, że żyli potem długo i szczęśliwie.*

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

# T.S. Eliot definitywnie doszlifowany

---

T.S. ELIOT, *Szepty Nieśmiertelności*. Poezje wybrane. Przekład, wprowadzenie i komentarz: Krzysztof Boczkowski. Wydanie zmienione i rozszerzone. Na podstawie: T.S. Eliot, *Szepty Nieśmiertelności*. Wyd. Baran i Suszyński 2001; Warszawa 2009. Dodruk 99 egz.

---

I znów książka do lektury nieobowiązkowej – a może nawet wręcz zbędna? Jak widać z powyższego zapisu bibliograficznego, rzecz jest tym, co się kiedyś w języku bibliografów i bibliofilów określało mianem *rara avis*, rzadki ptak, biały kruk. A więc trudno osiągalna rzadkość edytorska. Mam nadzieję, że trafiła już do zbiorów w naszym kraju najważniejszych: do Biblioteki Narodowej, BUW-u, mazowieckiej Biblioteki Publicznej, biblioteki Domu Literatury (sprawdziłem – już jest), a poza Warszawą do Jagiellonki w Krakowie, do wrocławskiego Ossolineum, do bibliotek tych uniwersytetów, które mają mocne wydziały anglistyki (przede wszystkim Łódź, Poznań, Gdańsk).

Bo sprawę stawiam otwarcie: to jest książka dla specjalistów. Specjalistów od poezji anglojęzycznej i od problemów przekładu poetyckiego w ogólności, a dla miłośników autora *Ziemi jałowej* w szczególności. Oni właśnie „wgrzązą się” w poezję Eliota na nowo, niniejszą jej polską prezentację porównywać będą żmudnie z innymi wersjami publikowanymi już uprzednio przez Krzysztofa Boczkowskiego, a przede wszystkim przez innych przekładowców (z Czesławem Miłoszem na czele).

Grono badaczy jest, oczywiście, dość ograniczone, ale może grono miłośników Eliota nie jest takie znów szczupłe jak mogłoby się wydawać? W każdym razie ci wszyscy czytelnicy świadomi, których interesuje poezja i jej książkowe wcielenia (zarówno w wersji oryginalnej, jak i w poetyckim tłumaczeniu) powinni wiedzieć, że taka nowa publikacja się ukazała i że wieńczy ona wieloletni wysiłek translatorski i egzegetyczny, wytrwały i natchniony trud Krzysztofa Boczkowskiego.

Najpierw słowo o tej osobowości twórczej, należącej do najciekawszych i najrzetelniejszych w naszym środowisku literackim.

Z wykształcenia (tzw. zawodu wyuczonego) genetyk, wiele lat profesor w katedrze genetyki Akademii Medycznej w Warszawie (obecnie Uniwersytetu Medycznego), w środowisku literackim dał się najpierw poznać jako poeta, oryginalny i w pełni samodzielny. Łączył precyzję scjentystycznych obserwacji z rozległym czytaniem, głęboką kulturą literacką oraz śmiałą wyobraźnią i przede wszystkim ogromną wrażliwością poetycką. Wiersze jego – przeważnie liryki refleksyjne – cechuje krystaliczna klarowność myśli poetyckiej wyrażonej środkami poetyckimi najczystszej próby, wywiedzionymi zarówno z głębokiej znajomości poezji klasycznej i współczesnej polskiej i obcej, jak i ze szczególnie bogatej wiedzy o muzyce, uwrażliwienia na nią, i znajomości jej struktur brzmieniowych.

Poezja Boczkowskiego nie zalicza się do dość pospolitej, miłej uchu „śpiewności”, muzyczność jego poetyckiej frazy zasadza się na wewnętrznej niejako logice konstrukcyjnej właściwej muzyce, wyraża środkami ekspresji poetyckiej nie tylko – a nawet nie tyle – eufonikę frazy poetyckiej, ile wewnętrzną harmonię muzycznego procedowania, punktowanego precyzyjnym układem kontrapunktów.

Na tej podstawie rozwija Boczkowski swą twórczość translatorską, a mówiąc ściślej – swój talent poetyckiej translacji. Tu uwypukla się jego rzetelność jako filologa: wymogiem wierności obejmuje nie tylko semantyczną warstwę przekładanych utworów i ich potencjał poetycki (śmiało zrywając z tłumaczeniami dosłownymi), szuka z wielką odkrywczością ekwiwalentów dla nieprzetłumaczalnych zbitków frazeologicznych z języka, z którego tłumaczy na język, na który tłumaczy. Szuka także ekwiwalentów – jeśli tak można powiedzieć – muzycznych (ale nie czysto brzmieniowych – eufonika jego tłumaczeń jest nośnikiem matematycznych właściwie ekwiwalentności polskiej frazy poetyckiej w stosunku do fraz oryginalnych).

Ta niepowszednia więź z muzyczną strukturą wiersza tłumaczonego znalazła najpełniejszy wyraz w przekładach T.S. Eliota. Jak wiadomo, poezja najwybitniejszego w wieku XX poety angielskiego osadzona jest w muzyce tak głęboko jak tylko można sobie wyobrazić. I równie organiczne związki z muzyką charakteryzują Boczkowskiego translacje Eliotowskie. Recytując je słyszy się tę samą muzykę, którą ewokuje we wrażliwym odbiorcy oryginalna poezja Eliota. I śledząc kolejne wersje jego przekładów (Boczkowski pracuje nad nimi od kilkudziesięciu lat, czeluje je równie wnikliwie, jak sam Eliot szlifował i doskonalił swe utwory), można się przekonać, jak i w tym najgłębszym, podpowierzchniowym planie poetycko-muzycznym osiąga Boczkowski kongenialność swych przekładów.



A dodać do tego trzeba tytaniczny wprost wysiłek badacza, analizującego i komentującego teksty oparte na strukturach pojęciowych o erudycyjnej skali, teksty stanowiące swoistą sumę wiedzy filozoficznej, historycznej, kulturologicznej, religioznawczej, ogólnie mówiąc – objętej pojęciem antropologii kultury. Komentarze Boczkowskiego są ważnym dokonaniem z zakresu egzegezy tekstów literackich, równie pięknych i bogatych, jak trudnych i wielorako zakodowanych.

I ten wieloletni, zarazem sumienny i wirtuozowski kunszt translatorski, doskonalony w odniesieniu do Eliota od lat już kilkudziesięciu, kulminuje właśnie w tej ostatniej na poły prywatnej edycji (lista publikacji książkowych i czasopiśmienniczych Boczkowskiego, które ów imponujący proces twórczy utrwaliły w druku, przerasta ramy tego tekstu). Boczkowski deklaruje, że jest to definitywna wersja „jego Eliota”. Rozumiem, że odczuwa potrzebę wybrania takich rozwiązań językowych i poetyckich, które uznał za najodpowiedniejsze dla utrwalenia w swej polskiej „poezji Eliota”.

Ale nie całkiem tej deklaracji dowierzam. Sam Eliot – w końcu jeden z największych poetów wieku XX – wprowadzał do swych utworów (zarówno poetyckich jak i dramatów) istotne i daleko idące poprawki, uzupełnienia, a także skróty (tego zabiegu tłumacz powtórzyć za autorem nie może) przez całe lata. Nie wykluczałbym więc, że i autorowi polskiej wersji tej poezji przyjdą jeszcze na myśl nowe rozwiązania. Gdyby się na jakies retusze zdecydował, to... „Póki co” jednak, otrzymaliśmy odeń wersję najdokładniej skodyfikowaną, chciałoby się powiedzieć – autoryzowaną, opatrzoną najwyższą sankcją twórcy.

Że jest to wydarzenie bez precedensu w naszym piśmiennictwie, zadyszany i trawiony „dojutrkowością”, podkreślać nie trzeba. Ale warto wiedzieć, że się takie fenomeny jeszcze pojawiają. Oby Krzysztof Buczkowski nie był tym, co tak „ostatni poloneza wodzi”.



Rys. Marek Chaczyk

# WŚRÓD KSIĄŻEK

Michael ANGOLD

*Czwarta krucjata* (tytuł oryginału: *The Fourth Crusade*), tłumaczenie z j. angielskiego Beata Spieralska, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2006, s. 304

## Zdobycie Konstantynopola 1204

12 kwietnia 1204 r. wojska krzyżowców (IV krucjata) zdobyły Konstantynopol. Święta wojna z niewiernymi, której celem od początku epoki wypraw

krzyżowych miało być odzyskanie Ziemi Świętej z rąk muzułmanów, zamieniła się w wojnę łupieżczą. Katolicycy rycerze – przekonani, iż walczą w słusznej sprawie – splądrowali chrześcijańską stolicę Imperium Rzymskiego (Bizancjum było spadkobiercą splendoru, tradycji i kultury *Imperium Romanum*). Zniszczona została wspaniała metropolia, stolica świata chrześcijańskiego, promieniująca skarbami cywilizacji na niemal cały ówczesny świat. Przez trzy dni krzyżowcy masakrowali swych braci w wierze, bezczęścili świątynie, niszczyli zasoby wielowiekowej kultury sięgające czasami epoki helleńskiej. S. Runciman, jeden z największych mediewistów w anglosaskiej nauce, uważa to wydarzenie za przykład największego barbarzyństwa jakiego dopuściła się cywilizacja Zachodu. Prof. A. Krawczuk, polski historyk, znawca i koneser kultury Antyku oraz Bizancjum stwierdza, iż była to katastrofa cywilizacyjna. Rycerze krzyżowi wykazali się bowiem (idąc w nabożnych celach do Ziemi Świętej) niebывалым jak nawet na owe czasy okrucieństwem, barbarzyństwem i brakiem miłosierdzia. A zdobyli przecież miasto na wskroś chrześcijańskie...

Książka M. Angolda nie zajmuje się samym zniszczeniem Konstantynopola. Ukazuje w zasadzie tło konfliktu i polityczno-dynastyczne przyczyny unicestwiającego koniec końcem stolicę Cesarstwa Wschodniego. Na tym tle dopiero Autor buduje narrację na temat samego zdobycia miasta. Ów konflikt przebiegał pomiędzy Konstantynopolem, zwalczającymi się koteriami i stronnictwami na cesarskim dworze (szukającymi pod koniec XII wieku często oparcia w krajach Zachodu), Rzymem i Kościołem katolickim władanych silną ręką Innocentego III oraz regionalnym mocarstwem jakim była ówczesna republika Wenecji. Rywalizacja o lukratywne kontrakty handlowe we wschodniej części Morza Śródziemnego, Lewancie i Egipcie między Wenecją, Pizą i Genuą miała tu także przemożne znaczenie. Wzajemne relacje Konstantynopola, Wenecji i Rzymu Autor prezentuje w sposób wyważony, obiektywny, próbując zgłębić różne punktu widzenia i różnorakie sfery interesów.

Wielu autorów i znawców problemu podkreśla – czyni to również M. Angold – że upadek Konstantynopola i powstanie na bazie Imperium Bizantyjskiego szeregu feudalnych tworów państwowych (najważniejszym było tzw. Łacińskie Cesarstwo w Konstantynopolu z cesarzem, łacińskim patriarchą, duchowieństwem etc.) przyczyniło się wydatnie do antagonizacji stosunków prawosławia i katolicyzmu. Jak wiemy z historii stosunki obu wyznań nie przebiegały sielankowo, w „chrześcijańskiej miłości bliźniego” – od 1054 roku oba Kościoły pozostawały formalnie w stanie wzajemnej anatemy. Jednak na poziomie podstawowym relacje interpersonalne nadal układały się poprawnie. M.in. w Konstantynopolu, prawie milionowej metropolii, funkcjonowały na długo przed jego upadkiem całe

dzielnice łacinników: weneckie, pizańskie czy genueńskie. Także duchowieństwo realizowało swoje powinności jakby równolegle. Zdobyć Konstantynopola przez krzyżowców odmieniło tę sytuację. Wykopany został na wieki głęboki rów nienawiści, pretensji i podejrzliwości między wspólnotami ortodoksyjnych chrześcijan a katolikami.

Trzeba uczciwie przyznać rację, że zdobycie Konstantynopola i zniszczenie tamtejszej cywilizacji w sposób tak jednoznaczny i formalny – wywiezienie cennych relikwii, dzieł sztuki, kultury, literatury, splądrowanie kościołów i klasztorów – a przede wszystkim przerwanie ciągłości dynastii cesarskiej (cesarz musiał się udać na emigrację do Azji Mniejszej, gdzie w Nicei założono kadłubowy twór mający w zamyśle kontynuację świetności Imperium) było szokiem dla świadomości mieszkańców i uczestników tworzenia tej kultury. Biznacjum jako państwo oparte na centralizmie i wydatnej roli cesarza jako namiestnika boskiego na Ziemi już się podnieść nie mogło. Jego historia po 1261 r. (powrót cesarzy do Konstantynopola i wygnanie z niego łacinników) to borykanie się z podstawowymi problemami, których Cesarstwo przed 1204 r. nie mogło mieć ze względu na swój a wielkość i strukturę.

To jeden z niewielu przykładów z historii kiedy na oczach niemalże współczesnych upada wspaniała kultura, cywilizacja. Gdy rozsypuje się dorobek dziesiątek pokoleń i materialne mienie tworzone przez wieki. To typowy przykład historii „wydarzeniowej” (termin zaproponowany przez Ecole des Annales).

Pierwsza część książki poświęcona jest analizie sytuacji polityczno-społecznej. Ale najciekawszą stroną jest w niej prezentacja mniemań oraz wzajemnych stosunków Bizantyjczyków i łacinników (zwłaszcza Franków), a także łacinników do mieszkańców Imperium. Autor błyskotliwie pokazuje jak stereotypy i pospolite mniemania (często zahaczające o bajki czy legendy) mogą formułować trwałe opinie społeczne, mające później wpływ na decyzje polityków. Tak m.in. działo się w Wenecji czy państwie Franków. Uprzedzenia i mity często trwale wpływają na świadomość społeczną.

Druga część książki zajmuje się sytuacją po zdobyciu Konstantynopola. Różne punkty widzenia na to co (i jak) się stało, pozwalają zrozumieć całą dwuznaczność sytuacji jaka zaistniała po złupieniu i zniszczeniu miasta. Gdy jedni uczestnicy krucjaty podejmowali próby zajęcia strategicznych pozycji, inni oportunistycznie korzystali z utylitarnych i przyziemnych okazji. Widać na tym przykładzie jak wzniosłość i sakralizacja politycznych decyzji – chodzi o samą ideę wypraw krzyżowych rzuconą jeszcze w XI wieku przez papieża Urbana II – w obliczu interesu handlowego, materialnych zdobyczy i pomnożenia prywatnych dochodów (bądź splendoru własnej rodziny co wiązało się także ze zwiększonymi w przyszłości apanażami) rozsypują się, unicestwiają, karleją.

Książka M. Angolda odznacza się także oprócz znakomitej znajomości tematyki, dogłębnej prezentacji faktów historycznych i ich interpretacji beznamietnością narracji. Ten styl tak charakterystyczny dla anglosaskiej nauki jest w tym przypadku walorem nie do przecenienia. To bowiem wydarzenie pozostało nieuleczoną traumą w świadomości wielu pokoleń prawosławnych. I mimo iż od upadku Konstantynopola w 1204 r. minęło ponad 800 lat efekty tej traumy dalekim echem pobrzmiwają we współczesnych stosunkach między państwami, narodami czy społecznościami. Zwłaszcza tam gdzie stosując terminologię S. Huntingtona namacalnie przejawia się tzw. „zderzenie cywilizacji”.

Dlatego warto jest polecić tę pozycję nie tylko tym, którzy interesują się historią (zwłaszcza tą dawną), ale i starają się odpowiedzieć na pytania dotyczące współcześnie zachodzących procesów.

**Radosław S. CZARNECKI**

Andrzej LAM

*Poznać to, co mówimy*. Prace filologiczne i wspomnienia, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.

## Profesor Lam idzie do Asyżu

Nie jesteśmy w stanie wysłuchać wszystkich odgłosów życia. Łapczywie nadstawiamy uszu i czuików naszej wrażliwości,

sami też wydajemy dźwięki naszej mowy, by włączyć je w zrozumienie świata, aż stajemy bezradni, gdy trzeba reinterpretować to, co mówimy. No, może niezupełnie bezradni i pewnie dlatego prof. Andrzej Lam tę swoją zaiste przebogatą książkę nazywa *Poznać to, co mówimy* (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009). Paradoks zawarty w tytule jest zapewne pozorny, ale rzuca się w oczy, więc dopytujemy się o drogę do tej konstatacji. Ja pytam tak: czy jest to ta, droga, którą pokonywał pieszo z Perugii do Asyżu? Czy ta, której kolejnym uwieńczeniem jest kolejny przekład poezji niemieckiej?

Prof. Lam jest, nie zawaham się tak powiedzieć, rozległym uczynym: literaturoznawcą, językoznawcą, filologiem, humanistą. Ale gdy przyjmuje z rąk przedstawiciela Ministra Kultury złoty medal *Gloria Artis*, tłumaczy się publicznie, że może to nie na wyrost, że ufa, iż i jemu zaufano, także w tej dziedzinie jego działalności, która nie jest czystą wiedzą, lecz wkracza już w kredowe koło sztuki, sztuki przekładu. Co więcej, przekładu poetyckiego. Co więcej, translacji języka średniowiecznego w polsko-niemieckiej konfrontacji semantycznej w czasie i przestrzeni. To miała być „wycieczka poza swoją działkę”, jak sam wyznaje, stała się jednak wyprawą w historię mowy i pojęć naszego zachodniego sąsiada, skąd nasz wcale nie zwyczajny profesor przywiózł był owoce badań i dla własnej, polskiej literatury i świadomości nad wyraz użyteczne.

Z dyskretną elegancją i edytorskim oddaniem wydana książka jest przykładem owej rozległości horyzontu naukowego i skali zainteresowań literackich, o których wspomniałem wcześniej w zazdrosnym uznaniu i ze szczerą satysfakcją przyjaznego towarzysza broni, nawet przy zastrzeżeniu należnych proporcji. W krótkim wstępie autor zapowiada „studia filologiczne”, również te, powstałe „w wyniku przemyśleń związanych z przekładami poezji niemieckiej”, wspomnienia „odnoszące się do czasopism”, z którymi był w swojej imponującej dorobkiem pracy ściślej i odpowiedzialnej związany, oraz wywiady i głosy o książkach z okazji nagród Warszawskiej Premiery Literackiej, której od lat wiernie przewodniczy.

To wielka skala spraw humanistycznych naszego świata – ta wyprawa w głąb swoich myśli i doświadczeń pedagoga i pisarza, wśród których Lam porusza się tyleż sprawozdawczo, co odkrywczo, świadom ich nieskończoności, więc także miejsca na kolejne wędrówki i rozważania. Sięga od Biblii po Marksa – przez mądrych Greków i Rzymian, od Platona i Horacego przenosząc się na północ, do Nibelungów, a w Polsce do czasów Kochanowskiego, by z równą swobodą odnaleźć się wśród literatury i filozofii współczesnej. Ścieżki to niby znane, lecz wciąż na nowo wydeptywane, poszerzane, umacniane. Przez strumienie coraz głębsze wiodące i myśli nad nimi jak mosty rozpięte nigdy przecież nie wznoszone raz na zawsze. Porastające krzewostanem coraz gęstszym wiedzy, informacji, wyobraźni i metafizyki – łatwych hipotez nowości i trudnych sprawdzianów. „Jak poruszać się w tym gąszczu?” myśli głośno pytany o krajobraz uwięziony wśród takich pojęć, jak „fenomenologia i psychoanaliza, personalizm i realizm Lukacsa, formalizm rosyjski, koncepcję literatury jako dialogu, estetyka marksistowska” (T. Wroczyński). I barwnie odpowiada, prowadząc nas przez historię piśmiennictwa, wskazując na istnienie dylematu, jaki się pojawia „kiedy coraz powszechniejsze stosowanie pisma zmuszało do zastanowienia się, jak traktować

słowo zapisane w oderwaniu od człowieka mówiącego”. Dodajmy: dziś także piszącego.

„Bez gruntu filozoficznego odczytywanie dzieł literackich jest martwe” – orzeka profesor słowa. Ale to nie jest przyznanie się do bezradności badawczej, rzecz po prostu mieści się już w kategoriach metodologii, choć jest treścią nieodzownego „zwrotu do źródeł”. Wywołuje wszelako nowe pytania, gdy zderza się z elektroniczną dynamiką świata współczesnego. Andrzej Lam z profesorską dobrocią nauczyciela odnosi się do tej przyszłości z zadziwiającym optymizmem. Rozważania wokół nowoczesnej technologii poznawczej zamyka konkluzją: „Przyszłość należy do ustroju, który najlepiej rozwiąże kwestię programowania rozwoju cywilizacji elektronicznej, zdolnej do ocalenia żywotnych zasobów globu ziemskiego – przez myśl i wrażliwość, wyprowadzone z dorobku ludzkiej kultury”.

Szkopuł w tym, że myśl i wrażliwość, godne naszej najwyższej troski, są już przez nasze domowe i publiczne media bezwzględnie maltretowane.

Profesor Lam, przy całej swojej wiedzy i mądrości, zachował piękną duszę poety. Nie ukrywa tego, tej swojej świętej naiwności, która uparcie – w nim samym – sprzecza się z rzeczywistością i gdy trzeba z Perugii dostać się do Asyżu, jak już wspomnieliśmy, rezygnuje z autobusu, maszerując pieszo. To było wprawdzie niemal pół wieku temu, o czym opowiada z pewnym wzruszeniem w „Epizodzie ze «Współczesnością»”, ale to – i tam wtedy we Włoszech, i tu dziś w Polsce – jego franciszkańska natura co pewien czas wypycha go na „wycieczki” poza uniwersytecką działkę.

Chwała mu za to, bo w ten sposób nasz codzienny świat niepospolitych szarych komórek potrafi rozkwiatać także pośród wszechobecnych komórek elektronicznej przyszłości.

**Eugeniusz KABATC**

## Appendix jubileuszowy

Podczas promocyjnego wieczoru w Klubie Księgarza w Warszawie, kiedy święciliśmy dwie rzeczy naraz: księgę Sebastiana Branta Okręt błaznów w przekładzie Andrzeja Lama i nader uroczyście niezwykłego Profesora czcigodny jubileusz, przypomniałem sobie jego wierszowany toast ku mojej jubileuszowej pamięci i pomyślałem, że gdybym mógł od razu zabrać głos, odpowiedziałbym taką oto parafrazą jego wiersza:

*Kiedy słynny malarz Dova  
Eugeniusza podejmował  
razem z Lamem i Stajudą,  
to nie pospolitą wodą,  
lecz wspaniałym winem Włochów,  
czym raczylił się po trochu.  
Aż sędziwy Ungaretti  
znad talerza cud-spaghetti  
stwierdził trzeźwo: dla omasty  
nieodzowne są toasty...  
Wśród wzniesionych dziś bez liku  
i mój usłysz, Rówieśniku!*

*ANDRZEJOWI – Eugeniusz*

Stanisław FRAN CZAK

*Legends i podania babiogórskie*. Stowarzyszenie Twórcze artystyczno-literackie. Wyd. I. Kraków 2010.

## Uroda i mądrość legend

Legends opowiadają o człowieku tak realnym jak sąsiad, ale mówią także o jego uwikłaniu w towarzystwo zjaw upstrzonych skrzydłami białymi, jeśli anielskie,

czarnymi, gdy diabelskie. Zdarzenia dzieją się w gęstym lesie, w którym przy korzeniach pni czai się gęsty mrok, ale w koronach drzew grają promienie słońca. Jeśli materiał opowieści tego wymaga zjawia się masyw góry, trwały jak wszystko, co fizycznie, zdolny jednak wywołać zaciekawienie albo i niepokój tajemniczym otworem jaskini. Legenda prowadzi nas przez znane okolice wąską groblą między tym co realne, a tym co nieoczekiwane i tajemnicze, bo z innego świata. Jest materialna jak czyn człowieka a ulotna, zjawiskowa jak jego emocje i myśli.

Od dziecka lubię legends, a gdy opowiadają o górach i ich mieszkańcach odycham nimi. W takim nastroju wzięłam do ręki książkę Stanisława Franczaka: „Legends i opowiadania babiogórskie”. Zaciekawienie pobudził fakt zapamiętany z dzieciństwa. Z tej części wsi, w której się urodziłem przy dobrej pogodzie widać Babią Górę w całej okazałości. Oczywiście ona tkwi w bezruchu, jak kariatyda dotyka nieba, ale raz jest jakby bliżej a innego dnia odsuwa się za linię horyzontu. Ludzie ją obserwują i patrząc odgadują pogodę. Zaciekawia ich, bywa częstym tematem rozmów. Pewnego razu sąsiad z pokolenia moich rodziców założył się z kilkoma rówieśnikami, że w jednym dniu dojdzie do jej szczytu i wróci a dowodem, że tam był będą gałązki kosodrzewiny i zielone o tej porze szyszki krzewu rosnącego tylko w tej partii Beskidów. Stawką zakładu było urządzenie przyjęcia dla wszystkich jego uczestników. Zgodnie z umową nasz maratończyk wyszedł „do dnia” czyli przed trzecią rano, a wrócił przed północą, dokładnie półtorej godziny przed umówionym czasem. Nawet uwzględniając dobrą znajomość bocznych dróg, ułatwiających pójście na skróty, przeszedł nie mniej niż 75–90 kilometrów. Ten niezwykły wyczyn potwierdza trwałą fascynację górali niezwykłą górą, jasną jak panna. O takich ludziach oraz ich wytrwałości w zmaganiach z przyrodą mówi szesnaście legend zanotowanych przez pisarza. Opowiada nam nie o ziemi nieznanej i dlatego egzotycznej, lecz o ziemi przez niego ukochanej, pięknej, ale wciąż jeszcze wymagającej i tajemniczej. Dzieją się na niej zdarzenia niecodzienne, warte zapamiętania. Ich przyczyny są nie do końca rozpoznane, właśnie legendarne. Autor nie obserwuje jak powstają legends. On pyta, co stało się pierwszym impulsem ich powstania i czym się karmią. Każda opowieść przekonuje, że przyczyną narodzin była krzywda jaką człowiek wyrządził człowiekowi. Legenda karmi się nadzieją, że krzywda zostanie naprawiona a sprawca ukarany. Przemoc rodząca krzywdę ma skrzydła czarne. Nadzieja naprawy zła lata na skrzydłach białych, anielskich. Zapewne dlatego potrzebujemy legends. One są jak tlen, bez którego człowiek słabnie i ubywa mu sił niezbędnych, by przywracać życiu ład czyli sens.

S. Franczak jest pisarzem – przewodnikiem po krainie literatury mówionej i śpiewanej, w której praojcowie zapamiętywali nie tylko krzywdę, lecz wszystko, co utwierdzało ich w przekonaniu o przemijalności zła i nieprzedawnieniu odpowiedzialności jego sprawców. Świat babiogórskich legends jest autentyczny. Odbieramy go jako autonomiczny, bo wieloma subtelnymi niemi powiązany z codziennym doświadczeniem, ze światem ludzi uczciwych, pracowitych, społecliwych. Pewne kłopoty ma tylko ze zbójem Madejem, który o swej ludzkiej naturze przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy się zestarzał, a słabość utrudniła mu zbójcecki proceder. Dopóki był silny i sprawny, a więc skuteczny nie wahał się zamordować nawet swoich rodziców. Finał legendy „Madejowe Łoże” jest

konwencjonalny, zgodny z kościelną doktryną: spowiedź, skrucha, rozdanie zagrabionych dóbr, a w nagrodę wędrówka duszy do raju. Po zabójstwie rodziców wieczność Madeja nie powinna być taka sama jak innych grzeszników, nazwijmy ich rutynowymi. Bóg jest mądrzejszy od ludzi. Nawet w legendach nie wyręczamy Boga we wspaniałomyślności. Klucze do raju ma tylko on, a nie kościelni funkcjonariusze. Na pewno zrobi z nich użytek lepszy niż twórcy dogmatów. Doktryna dopuszczająca grzech byle zdążyć się wypowiadać ma w sobie coś z cwaniactwa, a ono na pewno jest obce doskonałości Boga. Niewiele ma też wspólnego z moralną wrażliwością, której tak zdecydowanie bronią legendy. A przecież w obronie etyki opowiedział nam je pisarz, który w pięknym wierszu o Korczaku opisał jak heroizm Starego Doktora ocalił uśmiech dzieci prowadzonych na gazową śmierć. Trzeba bronić ideałów społecznego opiekuna!

Władysław LORANC

## WŚRÓD CZASOPISM

Katastrofa smoleńska wywołała, co zrozumiałe, falę komentarzy w mediach, które, wszystko na to wskazuje, będą z różnych powodów i dla różnych celów długo w nich obecne, bo skądinąd długa jest lista pytań na temat tej katastrofy.

Pomijając na tym miejscu haniebne w intencjach i wymowie komentarze najejmych dziennikarzy, w rodzaju różnych Pospieszalskich czy Wildsteinów oraz wielu duchownych w rodzaju bp Ryczana czy redemptorysty Rydzyskiego, uwagę kierujemy na komentarze poważne, formułowane przez osoby, które pragną odpowiedzieć na choćby takie oto pytanie: czy do tej katastrofy musiało w ogóle dojść?



Prof. Wiktor OSIATYŃSKI, ceniony prawnik-konstytucjonalista, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” (numer z 7 maja 2010) wskazuje na ważną, jeśli nie najważniejszą przyczynę tej katastrofy: na odpowiedzialność tych wszystkich, którzy zaplanowali, organizowali i

realizowali ten tragiczny lot. „Zdumiewa mnie stosunek do tej katastrofy. Podzielał ból i rozpacz, uważam, że należało temu dać wyraz i wszyscy to zrobiliśmy. Natomiast zupełnie nie akceptuję tego, że przeszliśmy w opisywaniu tej katastrofy w rozważanie bohaterstwa ofiar, ich poświęcenia, męczeńskiej śmierci, zrównywania katastrofy z mordem katyńskim. A to był po prostu tragiczny wypadek. Mitologizując go, zgubiliśmy zupełnie problem odpowiedzialności”.

Profesor precyzuje pojęcie odpowiedzialności i wskazuje na osoby odpowiedzialne. Sądzi, iż „Musimy sobie powiedzieć jasno, że istnieje domniemanie winy pilota. Gdyby żył, sąd mógłby nawet uznać, że jest to forma winy umyślnej, określana jako dolus eventualis, w tym sensie, że mógł przewidzieć niebezpieczeństwo i godził się, że skutkiem jego decyzji będzie śmierć pasażerów. Gdyby jakiś cudem ten samolot jednak wylądował bezpiecznie, to pilotowi można by wytoczyć proces o narażenie 95 osób na utratę życia”. I dalej: „Są trzy formy unikania odpowiedzialności: szukanie współwinnych, zaprzeczanie – „to nie ja”

i litowanie się nad sobą. I tak w stosunku do tego wypadku zachowujemy się jako społeczeństwo. W stosunku do wypadku, bo wobec jego ofiar zachowaliśmy się wspaniale. Na media zapewne spada odpowiedzialność moralna za wiele rzeczy, które stały się przed wypadkiem, jak i po nim, ale nie za sam wypadek. „Tworzenie atmosfery może prowadzić do tragedii, czego mamy przykłady w historii...”

Na temat różnych przejawów czy aspektów owej „atmosfery” wiele z kolei ważnych myśli wypowiedział prof. Janusz CZAPIŃSKI, znany psycholog społeczny, także w „Gazecie Wyborczej” (numer z 29 kwietnia 2010). Na pytanie o stan zachowań psychologicznych polskiego społeczeństwa wobec tej katastrofy i po żałobie Profesor odpowiada: „Na początku byliśmy wszyscy w podobnym stanie emocjonalnym, silnie przeżywaliśmy tragedię. Ale w jakimś momencie te emocje zaczęły ewoluować w różnych kierunkach ... Część Polaków przestała tkwić w żałobie, jeszcze zanim się skończyła, bo emocje związane z tragedią obcych nam ludzi, choć znanych, dość szybko wygasają. Pozostała, ogromna grupa Polaków nie potraktowała katastrofy pod Smoleńskiem jako tragedii ludzkiej, tylko jak tragedię narodową. Według nich Polska znowu została poddana złej próbie.. Jedynym gwarantem przejścia przez nią jest teraz obronić polskość w Polsce, tj. doładować komuś, kto zbyt wcześnie zakończył żałobę, i oponentom, którzy przestrzegają przed budowaniem IV RP, bo oni się są <prawdziwymi Polakami>. I u tych ludzi emocje teraz buzują. Oni nie chcą się od nich uwolnić, wręcz przeciwnie – karmią się nimi, To emocje związane z gniewem, nie żalem”. I dalej: „Teraz uwyraźniły się podziały między Polakami. Jedni są spokojni, wzięli się do roboty, a drudzy nakręcają emocje, domagają się rewanżu a winnych, nie spoczna, dopóki nie uderzymy się w piersi i nie zagłosujemy w 90 proc. na Jarosława Kaczyńskiego. To byłaby jedyna pokuta dla niewiernych”.

Wszelako, dodaje prof. J. Czapiński, „W odbiorze społecznym, w wymiarze emocjonalnym ta trauma jest porównywalna z tą, jakiej Polacy zaznali po śmierci Jana Pawła II. Wówczas czas wygaszania emocji był krótki, po miesiącu nie było już sygnałów żałoby. Myślę, że podobnie będzie w tym przypadku, Teraz o co innego będzie chodziło, o ten gniew, złość, walkę, podziały społeczne, a to nie będzie miało nic wspólnego żałobą. <Prawdziwi Polacy> pójdą na wojnę przeciw-

ko <fałszywym żałobnikom> – bo jak oni mogli doświadczyć smutku bez wcześniejszej pokuty i posypania sobie głowy popiołem”.

Dodajmy: owi Pospieszalcy i niemało osób w sutannach, nie mówiąc o sztabie PiS-owskim, szukających cynicznie natchnienia w katastrofie smoleńskiej dla zaspokojenia aspiracji politycznych swego wodza, nie dadzą Polsce wytchnienia. A poziom ich agresji jest prostym następstwem obawy przed klęską.

Pozostając jeszcze w kręgu komentarzy po katastrofie smoleńskiej zaglądamy jeszcze do najnowszego numeru „PRZEGLĄDU” (numer na 23 maja 2010). Odnotowujemy fragmenty rozmowy z min. Ewą KOPACZ, osobą, która z godnym szacunku heroizmem współuczestniczyła w identyfikacji zwłok ofiar i wszystkich innych procedurach medycznych i psychologicznych po tej katastrofie. „Do Moskwy przyjechali ludzie żałamani (chodzi o krewnych ofiar katastrofy – przyp. red.), nie-szczęśliwi, w głębokiej rozpacz... Staraliśmy się poświęcić im maksimum czasu. Ci ludzie w swoim





strasznym nieszczęściu byli razem, potrafili sobie współczuć i pomagać. Politycy powinni się od nich uczyć!... Dlatego, gdy wymuszono debatę sejmową na temat katastrofy, podziękowałam tym rodzinom, powiedziałam, że zachowywały się naprawdę wspaniale”. I dalej: „Strona rosyjska naprawdę się starała, znam rosyjski, więc mogłam ocenić, że nie było żadnych problemów w naszych kontaktach. W czasie wszystkich godzin, które tam spędziliśmy, towarzyszyło nam poczucie jedności – choć mieliśmy niezwykle traumatyczne przeżycia ...

Jakże te słowa autentycznego świadka wydarzeń związanych z katastrofą smoleńską są odległe od manipulatorskich gier parlamentarnego klubu PiS, gier obliczonych na uzyskanie poparcia wyborczego owych „prawdziwych Polaków”, na skłócanie społeczeństwa, na działania – powiedzmy wprost – sprzeczne w swej istocie z najżywotniejszymi interesami społeczeństwa i państwa.

**Ksawery PIWOCKI vel. „Fałszywy żałobnik”**

NO. 102 • SEPTEMBER – DECEMBER 2009

**IWM**post

„IWMpost” czasopismo wiedeńskiego Institut fur die Wissenschaften vom Menschen w swoim numerze nr 102 datowanym wrzesień–grudzień 2009 tematem przewodnim czyni „Kryzys na lewicy”. W polskiej prasie o charakterze prawniczym, jest to temat dyżurny, tak jakby myśl

prawicowa kwitła i zdobywała coraz szersze uznanie nowych wyznawców. Na prawicy mamy kompletną posuchę ideową, brak jakichkolwiek idei jest oczywisty, i właściwie winno to być także zmartwieniem lewicy, że potencjalny przeciwnik stracił jakiegokolwiek znaczenie poznawcze. IWMpost nie wpisuje się jednak w ten paradygmat. „Kryzys na lewicy” traktuje, jako problem braku idei, które byłyby alternatywą wyjścia z obecnego światowego kryzysu ekonomicznego i społecznego, a w konsekwencji politycznego.

Liberałowie upatrują przyczyn kryzysu w niesprawności modelu państwa opiekuńczego, które osiągnęło krańce swoich możliwości. Nie można już w wyższym stopniu obciążać podatkami obywateli, bo doprowadzi to do zaburzeń społecznych, nie można też zwiększać wymiaru podatków płaconych przez przedsiębiorców, gdyż zagrozi to ich efektywności ekonomicznej.

Robert Kuttner, wydawca amerykańskiego czasopisma „The American Prospect” w swoim artykule zatytułowanym, zgodnie z nazwą przewodniego tematu IWMpost, zwraca uwagę na zmiany, jakie zachodzą w społeczeństwach Zachodu: starzenie się ludności, niski przyrost naturalny, napływ imigrantów, którzy nie chcą się asymilować, a ze względu na liczniejsze rodziny w szerokim stopniu korzystają z pomocy społecznej gwarantowanej przez państwo. Młode pokolenie uważa osiągnięcia państwa dobrobytu, jako rzecz oczywistą, zastaną, ale równocześnie nie odczuwa potrzeby jego finansowania. Kuttner uważa jednak, że wymienione powyżej czynniki, choć są zgodne z prawdą, nie odnoszą się jednakże do istoty problemu. Stany Zjednoczone mają znacznie mniejszy zakres usług społecznych finansowanych przez państwo, niż Europa Zachodnia (nawet biorąc pod uwagę reformy służby zdrowia wprowadzane przez prezydenta Obamę), to jednak w obu tych obszarach Zachodu, problemy stojące przed społeczeństwami są identyczne.

Kuttner upatruje przyczyn kryzysu w dwóch głównych czynnikach: niezdolności państwa i społeczeństwa obywatelskiego do zrównoważenia sił rynkowych oraz w tym, że partie lewicy i prawicy zachowują się identycznie wobec wyzwania współczesności, różniąc się tylko zakresem akceptowalnego poziomu pomocy

społecznej, natomiast omijając kluczową sprawę zrównoważenia potrzeb społecznych i sił rynkowych.

Globalizacja, definiowana i wdrażana, jako swoboda działania przedsiębiorców, „laissez – faire” niszczy regulacyjną rolę państwa, umożliwia bezpodatkowy przepływ kapitału, umożliwia obniżkę kosztów pracy poprzez eksploatację siły roboczej w krajach „Trzeciego świata”. W ten sposób zglobalizowany kapitał eroduje potencjał rynkowy krajów Zachodu mimo zachowanych formalnie tego samego zakresu świadczeń społecznych – zachwiane zostają dotychczasowe różnice dochodowe z korzyścią dla wąskiej grupy właścicieli kapitału, przede wszystkim finansowego, a relatywną obniżkę dochodów pracobiorców. Zglobalizowany kapitał nie podlega ograniczeniom zarządzanego przez państwo kapitalizmu, swobodnie spekulując posiadanymi środkami finansowym, lub, w coraz większym zakresie tworząc nowe, wirtualne kapitały, całkowicie oderwane od realnej gospodarki. Jak wykazał kryzys lat 2008–2009, zapoczątkowany bankrutem banku Lehman Brothers 15 września 2008 roku, brak korekcyjnej polityki instytucji państwowych szkodzi przede wszystkim samemu kapitałowi. „Sub prime credits”, czyli tłumacząc na polski, „Prawie najlepsze kredyty” wyparowały na kwoty liczone w dziesiątkach miliardów dolarów, mimo to przynosząc wielomilionowe zyski, liczone, jako procent od obracanego wirtualnego kapitału. Przy okazji poszły z nimi w nicość miliardy oszczędności większych i mniejszych wierzycieli, funduszy emerytalnych i drobnych inwestorów, czyli jak najbardziej realne pieniądze dla ich pierwotnych posiadaczy.

Zbankrutowane banki dostały od państwa olbrzymie finansowe wsparcie, umożliwiające im dalszą egzystencję – i dalsze tworzenie wirtualnego kapitału i realnych prowizji. Nic się nie zmieniło. Wynika to z faktu, że rządy w Waszyngtonie, Londynie, w mniejszym stopniu Berlinie i Paryżu, są na usługach zarządów wielkich banków, dla których kryzys finansowy jest tylko drobnym przypadkiem w pracy, i nie przyjmują do wiadomości, że przyczyny mają fundamentalny, strukturalny charakter.

Lewica Zachodu przyjęła za oczywiste, że współczesny kapitalizm jest taki, jak go prezentują liberałowie – dynamicznie rozwijający gospodarkę dzięki zmniejszaniu przeszkód stwarzanych przez państwo i społeczeństwo obywatelskie. Thacher twierdziła: „Nie ma innej alternatywy” i to miało być prawda dla wszystkich.

Kryzys lewicy polega więc na tym, że uległa ona liberalizacji, że nie zaproponowała alternatywnego wyjaśnienia istoty narastających problemów i tym samym alternatywnego programu przezwyciężenia kryzysu. Alternatywa istnieje, ale wymaga ona zdecydowanego wzmocnienia prerogatyw państw w regulowaniu gospodarki, przede wszystkim rynków finansowych. W przypadku Europy kompetencje Komisji Unii Europejskiej muszą ulec znacznemu zwiększeniu. Wiąże się to z koniecznością demokratyzacji instytucji wspólnej Europy. Wzorem mogą być państwa skandynawskie, które z powodzeniem uniknęły kryzysu, mimo wysokiego poziomu opodatkowania, dużego zakresu usług socjalnych – a właściwie dzięki nim.

Unia Europejska nie stanowi jedności politycznej, mimo silnych wzajemnych związków ekonomicznych. Uzgadnianie decyzji ekonomicznych i politycznych na drodze consensusu między państwami członkowskimi, mimo przewagi największych, jak Niemcy, Francja, Wielka Brytania, oznacza, że Unia jest, jako całość, słabym państwem, niezdolnym wypracować jednolitego programu kontroli własnego kapitału. Robert Kuttner sadi, że mimo wszystko to Stany Zjednoczone, tak jak narzuciły „Waszyngtoński Konsensus” będący manifestem liberalizmu, który przyniósł ogromne straty nie tylko krajom rozwijającym się,

ale także i liderom Zachodu, wprowadzą regulacje rynków finansowych, wracając do idei prezydenta Roosevelta, które umożliwiły przezwyciężenie Wielkiego Kryzysu lat 1929–33. Europa, aby być i w stanie zrealizować koncepcje Traktatu Lizbońskiego zrównoważonego wzrostu gospodarki i wiedzy musi także podążyć tą drogą – konieczność stworzenia silnego (ekonomicznie państwa europejskiego jest koniecznością).

Miejsce Polski w tym szeregu jest oczywiste: ingerencja państwa w tworzeniu nowych miejsc pracy, zwiększenie nakładów na wdrożenie wynalazków, zwiększenie zakresu nakładów na efektywne gospodarczo badania naukowe, stworzenie sieci bezpieczeństwa socjalnego obejmującego służbę zdrowia, bezpieczeństwo publiczne, dostęp do dobrego jakościowo szkolnictwa. Tego nie zrobi samodzielnie rynek – on też wymaga wsparcia instytucji państwowych i obywatelskich, aby mógł zdrowo funkcjonować dla dobra wszystkich obywateli.

**Daniel S. ZBYTEK**



## Z OSTATNIEJ CHWILI

W chwili zamykania niniejszego numeru do druku dotarła do nas wiadomość o ukazaniu się na łamach prestiżowego amerykańskiego czasopisma naukowego SCIENCE tekstu, w którym dwaj znani genetycy – Craig VENTER (uczony ten przed paru laty dokonał epokowe-

go odkrycia ludzkiego genomu) i Hamilton SMITH poinformowali o stworzeniu nowej formy życia, która powstała w ich laboratorium, nie mająca jakiegokolwiek przodka w przeszłości.

Margit Kossobudzka na łamach „GAZETY WYBORCZEJ” (numer z 21 maja 2010) tak przedstawia to odkrycie:

„Venter wybrał drogę, którą dziś nazywamy <od góry do dołu> – to znaczy postanowił kawałek po kawałku obedrzeć życie z tego, co jest mu zbędne. Tą metodą chciał dotrzeć do minimalnej liczby genów potrzebnych prymitywnej komórce, żeby wciąż mogła się rozwijać i mnożyć.

Pracował nad bakterią mającą najmniejszy znany genom na świecie, czyli mykoplazmą *Mycoplasma genitalium*, która pasożytuje na nabłonku narządów płciowych i w układzie oddechowym. Kiedy 12 lat temu ustalił, jaka minimalna liczba genów potrzebna jest jej do życia, potraktował to jak przepis i spróbował odtworzyć owe geny w laboratorium.

Udało mu się dwa lata temu. Odtworzony czy też sztuczny genom ma zaledwie 580 tys. nukleotydów, czyli <liter>, które składają się w blisko 520 <wyrazów> – genów budujących DNA... To, co zrobił Venter nie było jednak wcale proste. Nawet przy ogromnym zawansowaniu współczesnej genetyki uczeni nie potrafią zsyntetyzować całego, nawet najmniejszego genomu za jednym zamachem. Tworzą więc jego krótkie fragmenty, które potem mozolnie składają. Na początku naukowcy <skorzystali> z maszynarii komórkowej bakterii, która powieliała nowo utworzone kawałki. Ale gdy nić DNA stawała się długa, zaczynała się rozpadać. Prace na kilka miesięcy stanęły.

Venter jest jednak uparty. Wraz z całym sztabem najlepszych na świecie genetyków genetyków biochemików znalazł rozwiązanie – drożdże. Komórki tych prostych grzybów doskonale radzą sobie z łączeniem dużych fragmentów DNA. Wystarczyło wprowadzić do nich cztery ćwiartki genomu mykoplazmy, by drożdże łączyły je w całość.

Craig Venter prócz tego – czytamy dalej tekst tej autorki – że umiał stworzyć sztuczne DNA, potrafił też przenieść materiał genetyczny z jednej komórki bakteryjnej do drugiej, z której wcześniej usuwał oryginalne geny. Teraz zaś połączył obie metody – sztuczny genom przeniósł do <pustej> komórki innego gatunku mykoplazmy – *M. caprocolum* (to dlatego, że *M. genitalis* wyjątkowo wolno rośnie). Przeszczepione geny zadziałały i zaczęły sterować komórką”.

Wobec różnych zarzutów, które już zostały wysunięte wobec odkrycia Ventera, uczony jest przekonany, iż jest tym, kto stworzył pierwszą sztuczną komórkę.

„Czy naprawdę musimy tworzyć sztuczną cytoplazmę (zawiera ona inne elementy potrzebne do funkcjonowania komórki, także te niezbędne do obsługi DNA – przyp. red.) – mówił oponentom Venter. Po co, skoro nasza komórka produkuje tylko białka charakterystyczne dla dawcy, czyli dla stworzonego przez nas sztucznego genomu?”

Dodajmy, że od kilkunastu już lat biolodzy rozwiniętych krajów świata, głównie Zachodu odczytują kod genetyczny wszystkich żyjących na Ziemi istot – w tym człowieka. Znajomość kodu to nie to samo, co stworzenie od podstaw nowego życia.

Syntetyczne DNA to ogromna nadzieja dla chorych na raka, na choroby o podłożu genetycznym dziedzicznym z pokolenia na pokolenie, na usuwanie trwałych uszkodzeń ciężkich przypadków spowodowanych przez urazy chemiczne, warunki pogodowe, wypadki samochodowe itp. To także zwielokrotnione szanse na nowe rodzaje roślin. Zielona rewolucja, która umożliwiła uniknięcie klęski głodu w krajach Azji i Afryki, polegała „tylko” na bardzo ograniczonej modyfikacji genetycznej. Stworzenie nowego rodzaju upraw, odpornych na choroby grzybowe, zadowolające się mniejszą ilością wody, odporne na szkodniki – to także szansa, przed jaką stoi ludzkość dzięki tworzeniu nowych, sztucznych organizmów żywych.

**DSZ**

## Stanisław Franczak

### Linia demokracji

Jestem po tej stronie  
za linią  
nie przekaraczam jej w dzień  
ani w nocy  
stoję w szeregu z karabinem  
w ręku  
strzelam na rozkaz i  
nienawidzę  
lecz wczoraj ktoś ją ukraść  
i teraz  
nie wiem kto kim jest

może odnajdę ją w pracy albo  
w domu?

1980 r.

### Przeciw wiatrom

Albo mówisz:  
– ucieknijmy razem  
na bezludną wyspę  
i nie patrzysz mi w oczy gdy  
na horyzoncie klucz żurawi  
wyznacza nasze marzenia  
i cicho śpi w wózku niemowlę  
– ucieknijmy  
powtarzasz uparcie i obliczasz  
w myślach ile to jeszcze  
pozostało do pierwszego

2008 r.

Uri HUPPERT

# Czarnogród w państwie demokratycznym

Poczytny dziennik izraelski „Haaretz” wydrukował artykuł wstępny pt. Czarnogród. Gazety wieczorowe na pierwszych stronach zatytułowały ten absurdalny incydent jako szaleńczą decyzję rządu. Związek lekarzy deklaruje, że decyzja rządu (większością głosów z premierem Bibbi Netaniahu na czele) jest hańbą, że pół miliona obywateli ostrzeliwanych przez Hamas ze strefy Gazy pozostawiona została pastwie szaleńców, fundamentalistycznej ultraortodoksji.

Dr. Eitan Hai-Am, Dyrektor Generalny Ministerstwa Zdrowia demonstracyjnie zrezygnował. A więc o co chodzi?

Na gruntach szpitala im. Barzliaya, jedyne w okręgu Aszkelon-Aszdod, na pograniczu wspomnianej strefy Gazy, w tych dniach miano rozpocząć pracę nad budową podziemnego uzbrojonego, tzw. „Emergency Room” czyli izby przyjęć. Wiadomo, że izba przyjęć jest instytucją diagnostyczną, przez którą przechodzi każdy nowy pacjent w drodze do łóżka szpitalnego.

Na terenie szpitala Departament Archeologii odkrył prehistoryczne szczątki kości ludzkich. Ultraortodoksyjny wiceminister zdrowia, który podlega teologicznie przywódcy „Dworu Podwarszawskiej Góry Kalwarii” (Chasidei Gur) zadecydował, że izba przyjęć zostanie przesunięta 350 m od budynku szpitala by nie zakłócać spokoju prehistorycznym szczątkom ludzkim, których nie wolno ekshumować, zmieniać ich miejsca spoczynku lub przenieść na cmentarz.

Rząd, w którym frakcja ultraortodoksyjna jest niezbędną częścią koalicji, potwierdziła decyzję rabina Litzmana i wyasygnowała sumę 13 milionów szekli (około 400 tysięcy dolarów) na absurdałne przesunięcie izby przyjęć tej kluczowej dla życia pacjenta instytucji oddalając pacjenta o setki metrów od szpitala.

Pan Litzman nie dał się przekonać, ani absurdem tej decyzji, ani ewidentnym niebezpieczeństwem dla życia pacjentów. Dotychczas nawet petycja czołowych lekarzy nie pomogła. W ostatniej chwili dochodzą słuchy, że archeolodzy chcą udowodnić pochodzenie rytualne szczątków ludzkich. O ile bowiem nie należą one do Żydów, jest szansa, że Litzman i jego nadworny rabin dadzą się przekonać, że „gojskie” szczątki nie podlegają talmudycznej ochronie, co umożliwi ich pochówek na cmentarzu.

Ten dramatyczny wpływ na rządy Izraela miał w przypadku szpitala miał swój kuriozalny wpływ, który potwierdził regułę. A przecież narodowi ortodoksi (ci od kolonizacji Autonomii Palestyńskiej) są flagowym statkiem w ukierunkowaniu polityki zagranicznej, budżetu państwa, na finansowanie miliardów w kontrowersyjną kolizację Autonomii Palestyńskiej, która rozbudowuje się na rozkaz tegoż premiera, który już w roku 2009 (w przemówieniu na Uniwersytecie Bar lian) zadeklarował, że jakoby przyjmując koncepcję dwóch państw w Palestynie. Zapomnieliśmy, że minister komunikacji Izraela w rządzie Netaniahu poparł legalizację autobusów publicznych międzymiastowych z podziałem na sekcję wydzieloną „dla kobiet wyłącznie” (ciekawe jak ten szyld brzmi po niemiecku?). Przykre, lecz właśnie w momencie, gdy rząd wyasygnował 13 milionów szekli na szaleńcze przesunięcie izby przyjęć, nadeszła decyzja tegoż rządu i ze względu na ograniczenia budżetowe Kibuc Jad Mordechaj nazwany dla upamiętnienia Mordechaja Anielewicza, dowódcy powstania w Getcie Warszawskim, na tegoroczne tradycyjne obchody powstania nie otrzyma subwencji państwowej.

---

Autor jest znanym izraelskim prawnikiem, przyjacielem Polski i b. przewodniczącym Ligi Walki z Nietolerancją w Izraelu. Zapowiedział stałą współpracę z naszym czasopismem.

Red.

## PRZED XI ZJAZDEM KRAJOWYM TOWARZYSTWA KULTURY ŚWIECKIEJ im. Tadeusza Kotarbińskiego

W Radzie Krajowej zakończono prace związane z merytorycznym i organizacyjnym przygotowaniem XI Zjazdu Krajowego Towarzystwa.

W ostatnich tygodniach do Rady Krajowej napłynęły informacje o dokonaniu w oddziałach Towarzystwa w kraju wyboru delegatów na Zjazd, co pozwoliło w ostatnich dniach skierować do delegatów, członków ustępujących władz krajowych oraz gości Zjazdu stosowne zaproszenia wraz z materiałami zjazdowymi.

Zjazd odbędzie się, zgodnie z wcześniejszą uchwałą, 12 czerwca 2010 roku w Warszawie. O miejscu Zjazdu, ramowym porządku jego obrad, czasie jego trwania i innych sprawach organizacyjnych wszystkie stosowne informacje zawarte są w wysłanych już lub wysyłanych zaproszeniach na Zjazd.

**Katowice** Odbyło się tu, 19 kwietnia 2010 r., walne zgromadzenie zwyczajne Śląsko-Zagłębiowskiego Oddziału Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego. Zebrani na spotkaniu, które odbywało się w klimacie żałoby narodowej po tragicznej katastrofie prezydenckiego samolotu, chwilą milczenia uczcili pamięć wszystkich tragicznie zmarłych, a następnie przystąpili do oceny działalności Oddziału w latach 2006–2010 oraz określenia zadań na przyszłość.

Wysoko oceniono, organizowane zwłaszcza w ramach Klubu Kultury Współzycia i Tolerancji wspólnie z Komisją Filozofii i Socjologii Katowickiego Oddziału PAN, seminaria i sympozja na temat najważniejszych współcześnie problemów społeczeństwa i człowieka; istoty współczesnego państwa i jego roli w rozwijaniu inicjatyw obywatelskich i budowie społeczeństwa obywatelskiego; kwestii tolerancji i jej stosowania w życiu jednostek czy zbiorowości ludzkich; problemów współczesnych ruchów politycznych i społecznych, w tym sytuacji w ruchu lewicy.

Stosunek do bieżących wydarzeń w Polsce i świecie formułowano w toku spotkań statutowych i dokumentowano w stosownych oświadczeniach, które przekazywano zainteresowanym instytucjom państwowym oraz mediom. Wyrażana a nich była troska ruchu o jedność społeczeństwa w rozwiązywaniu najważniejszych polskich spraw, sprzeciw wobec prób zakłócenia tego porządku rzeczy przez zwykłych ludzi, myślących ponad partyjnymi podziałami czy różnicami światopoglądowymi.

Oddział katowicki Towarzystwa już od 7 lat prowadzi stronę internetową, wzbogaconą o debaty i dyskusje zainteresowanych internatów, uczestnicząc tym samym w ważnych ogólnopolskich debatach obywatelskich.

Zebrani w dyskusji i przyjętej uchwale zaaprobowali z uznaniem dotychczasową działalność zarządu Oddziału oraz sformułowali szereg postulatów na kolejną kadencję.

*Dokończenie KRONIKI na III s. okładki*

Dokonano wyboru nowych władz Oddziału powierzając ponownie godność prezesa zarządu dr Stanisławowi KRYŚKOWOWI, znanemu działaczowi społecznemu Ziemi Śląsko-Zagłębiowskiej oraz polskiego humanistycznego ruchu świeckiego. Wybrano też delegatów na XI Zjazd Krajowy Towarzystwa.

J.P.

**Puławy** Oddział Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego w Puławach, którego systematyczna i owocna działalność budzi szacunek w regionie i wyróżnia w skali krajowej, gościł 27 kwietnia 2010 r. – na swym planowanym spotkaniu – wiceprezesa Rady Krajowej i redaktora naczelnego „RES HUMANA” dr Zdzisława SŁOWIKA.

Gość spotkania podzielił się z zebranymi refleksjami na temat ostatnich wydarzeń w kraju związanych z katastrofą smoleńską, wyborami prezydenckimi oraz niektórymi aspektami sytuacji wyznaniowej w Polsce. W ożywionej wymianie myśli wyrażona została troska o przywrócenie krajowi stabilizacji i równowagi, o zakończenie wojny polsko-polskiej, o umacnianie państwa neutralnego światopoglądowo, przestrzegającego zasad tolerancji oraz oddzielonego od Kościołów i związków wyznaniowych.

Z wielką troską mówiono też o sytuacji polskiej lewicy i szansach kandydata lewicy w nadchodzących wyborach prezydenckich.

Spotkanie prowadził prezes Oddziału Towarzystwa w Puławach mgr inż. Stefan FILIP.

X



Bibliotekę „RES HUMANA” wzbogaciła w ostatnich dniach kolejna książka.

Profesor Lech OSTASZ, filozof, psycholog i etyk w Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, powierzył BIBLIOTECE swoją najnowszą pracę zatytułowaną: DOBRE, ZŁE, ODPOWIEDZIALNE, SPRAWIEDLIWE..., pracę, stanowiącą zwięzłe kompendium wiedzy o najważniejszych pojęciach etyki.

Dwie perspektywy wyznaczają jej szczególny charakter: po pierwsze – to rozumienie i interpretowanie etyki z punktu widzenia etyki humanistycznej, niezależnej, uniwersalnej, takiej etyki, której w polskim dziedzictwie myśli etycznej złotymi zgłoskami zapisane jest imię Tadeusza Kotarbińskiego; po drugie – to bardzo ścisłe powiązanie definicji i pojęć etycznych zawartych w książce z codziennym ludzkim doświadczeniem, co nadaje książce

wymiar praktycznego drogowskazu życia na miarę godności człowieka.

Zachęcamy do lektury książki, która jest do nabycia w salonach EMPiK w całym kraju oraz w redakcji naszego czasopisma. Cena 1 egzemplarza książki wynosi 12 złotych.

Opuścił nas i nasze łamy 30 marca 2010 roku na zawsze

## **Krzysztof Teodor TOEPLITZ**

jeden z najwybitniejszych polskich mistrzów felietonu, znawca sztuki filmowej, autor wielu scenariuszy filmowych i telewizyjnych oraz wykładowca akademicki.

W Osobie KTT, bo takim skrótem znany był powszechnie, utraciliśmy autora, który od blisko dwóch lat podjął współpracę z naszym czasopiśmie, co uznaliśmy – my w redakcji i nasi Czytelnicy – za wyróżnienie, za świadectwo uznania bliskich nam wspólnie wartości humanistycznych, świeckich i lewicowych, zwróconych ku temu, co buduje zaufanie i wzajemny szacunek między ludźmi.

Te wartości przenikały całą Jego twórczość i Jego życiową drogę do jej samego kresu. Jeszcze dwa tygodnie przed niespodziewaną przez nas śmiercią przysłał nam swój kolejny felieton do druku. Jakież wielki żal, że okazał się ten tekst ostatnim.

Pozostanie Pan, Drogi Panie Krzysztofie, na zawsze w naszych sercach i pamięci.

Zespół Redakcji  
RES HUMANA

---

Zmarł 24 kwietnia 2010 r. w wyniku tragicznego wypadku drogowego, także bardzo bliska nam Osoba, odszedł na zawsze

## **Wojciech SIEMION**

wielki aktor sceny teatralnej i filmowej, reżyser, mistrz słowa i jego niepowtarzalny interpretator, wykładowca akademicki, zanurzony całym swym pracowitym życiem w sprawy człowieka, jego realne życie i przeznaczenie, jego wielkość i godność kształtowaną na polskim i światowym dziedzictwie humanistycznym.

Był z nami całym sercem. Tym samym naszym sercem i pamięcią pozostanie z nami na zawsze.

Towarzystwo Kultury Świeckiej  
im. Tadeusza Kotarbińskiego  
Zespół Redakcji RES HUMANA

---

Dnia 18 kwietnia 2010 r. pożegnaliśmy na wieczny spoczynek Naszą Koleżankę

## **Barbarę NATORSKĄ**

wybitną działaczkę społeczną, była posłanką Ziemi Łódzkiej do Sejmu, krzewicielką wartości humanistycznych i ruchu świeckiego, bardzo nam bliską i serdeczną.

Cześć Jej pamięci.  
Rada Krajowa i Rada Łódzka  
Towarzystwa Kultury Świeckiej  
im. Tadeusza Kotarbińskiego